Numer 13. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 31 Marca 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Dziedziczność.

— Pan wierzy w dziedziczność.

— Bzdury. Naprzykład ja i ojciec. Ojciec pijał piwo, ja piję wódkę, ojciec jeździł bryczką, ja samochodem, ojciec posyłał z listami pachciarza, ja telefonuję, a najważniejsze — ojciec miał cztery farmy, a ja nie mam nic. Gdzie tu są cechy dziedziczności?



Dlczego nie wychodzi zamąż.

Zapytano kiedyś znaną powieściopisarkę, dlaczego nie wychodzi zamąż.

— Mam w domu trzy rzeczy, które mi tak dokładnie obrazują charakter męża, że bardzo chętnie się zrzekam go.

— A cóż to jest takiego?

— Mam psa, który przez cały ranek szczeka z niezadowolenia, mam papugę, klnącą całe popołudnie, i kota, którego całą noc niema w domu.



Przy ślubnym egzaminie.

Ksiądz proboszcz: — Więc teraz, Wojciechu, do jakiego sakramentu się przysposabiasz. No namyśl się dobrze... żenisz się przecie, więc do mał... mał...

Wojciech: Już wiem, proszę jegomości, do Małgorzaty.

Żydowski spryt.

Szepsel Zwiebelwurcel kupił na jarmarku szkapę i jedzie do domu. Po drodze spotkała go straszna burza: ulewny deszcz, błyskawice, pioruny... Rozpętany żywioł stał się tak groźny, że drżący ze strachu Zwiebelwurcel zaczął się modlić — a w modlitwie swej przysiągł solennie, że jeżeli cało wyjdzie z tej opresji to konia sprzeda i całą ofiarowaną mu sumę ofiaruje biednym.

Po paru minutach burza przechodzi. Szepsel jest uradowany. Zajeżdża do miasteczka i przedewszystkiem kupuje kurczaka. Potem udaje się na rynek, aby sprzedać konia. Jeden z handlarzy zapytuje go, ile żąda za rumaka.

— Sprzedam go tylko razem z tym kurczakiem.

— A ile chcesz?

— Koń kosztuje dwa złote, a kurczak... trzysta.



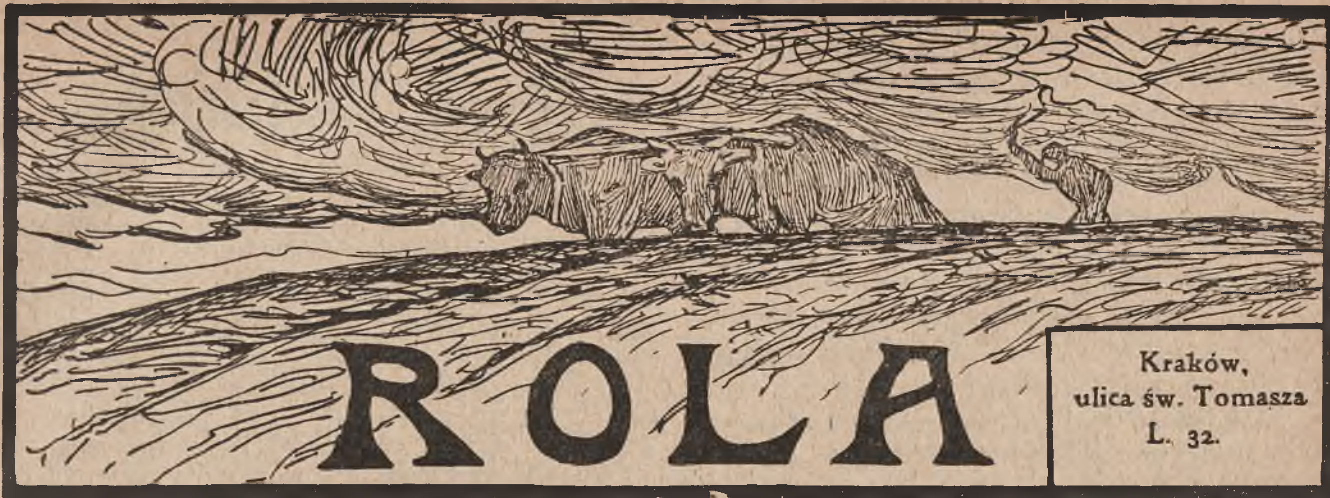
Grunt to wygoda.

W czasie przedstawienia w teatrze jakaś para zachowuje się bardzo głośno i ustawicznie ze sobą rozmawia. Wreszcie jeden z sąsiadów ma już tego dość i odzywa się.

— Może by państwo przestali... Nie mogę przecież słyszeć ani jednego słowa!

— A cóż pana może obchodzić, co ja opowiadam mojej żonie?!

Numer 13. Rok XII. Kraków, dnia 31 Marca 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

A CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ...

Jest dzień, który jest nad wszystkie inne dni jaśniejszy, który, zda się, goi rany, leczy blizny, ucisza smutki, rozwesela utrapionych i potęgą niebiańską cały świat pochyla pod swe rozkazy, wołając: Chrystus zmartwychwstał, Alleluja! Dzień to wielki, przepiękny, rozśpiewany i uroczy, skąpany w blasku chwały i zwycięstwa, dzień przejasny i świetlany, choć słońce nieraz chmurami zakryte, dzień płomieniem gorejący, choć jeszcze chłód porankowy dokucza, dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

Oto dzień, w którego zmroku dzwony całego świata, bijąc spiżowem sercem w pancerną pierś, zwołują wszystkie dłonie do uścisku... a w świat daleki bieży radosne Alleluja!

Niech będzie błogosławiona ta chwila, w której cień życia zaznaczył dniom naszym: Alleluja!

Niech będą błogosławione długie miesiące, w nieświadomości niemowlęcej przespane, bo gdyśmy otworzyli oczy, dały nam one stokroć radośniejsze poznanie wszystkich na ziemi ojczystej rozsianych piękności! Niech będą błogosławione serca nasze, co nam wydzwoniły godzinę dwukrotnego Cudu! Niech będzie błogosławione słońce zachodu, co nam posłało ostatnie pożegnanie w dniach smutku, żałoby i niewoli! Niech będzie błogosławione słońce wschodu, co nam zwiastowało dzień zmartwychwstania wolnej i zjednoczonej Ojczyzny naszej!

I dzisiaj w tym dniu, kiedy ziemia cała zrzuca z siebie ciężar śmierci, kiedy wszystko odwala kamień niewoli zimowej, dzisiaj wszyscy wejdźmy w siebie i ślubujmy: Odwalać będziemy kamień wad naszych, warcholstwa i sobkowstwa, kamień lenistwa i filisterstwa, odwalać będziemy ciągle i bez wytchnienia pracą nad naszą słabą wolą, odwalać będziemy ten kamień spleśniały jasnością życia naszego, wielkością czynu ofiarnego, oraz tępieniem zła, co niszczy nasz organizm państwowy, niby owad filoksery winną latorośl. Niech się dokona uroczyste misterjum, co zdejmie opony z serc, które głośniej i żywiej czuć umiały! Niech się rozszerzą ramiona i niechaj w nie spłynie miłość świata!...

Cisza była śmiertelna, a świat we mgle tonął... Miljony dusz, pogrążonych w bolesnej zadumie i oceanie smutku, zdały się czuwać z Tym, który cierpiał bezmiar katuszy. A Chrystus idzie na Golgotę,... górę męki i konania! Golgota bowiem niezrozumiałą mą potęgę... „Krzyża nie ustawili jeszcze dla jednego, a już na jego wzgórzu siada bezwiednie i nieświadoma swej tragicznej siły smętna tęsknica innych dusz".

Znużony wielce Pan upada po trzykroć, a św. Weronika ociera chustą twarz Jego. Patrzcie! Na chuście oblicze! Widać koronę cierniową, włosy zlepione krwią i śmiertelnym potem a usta zamarłe. I skazano na krzyż Tego, który był drogą prawdy i światłem, Tego, który błogosławione ziarna rzucał pełną garścią w skostniałą ziemię, a nędzy i zbrodni wydzierał pokrwawione ofiary, Tego, który był miłością i głosił miłość, gdy fala namiętności i nienawiści z rykiem wściekłym dosięgała głów ludzkich.

Idzie noc głucha i groźna, a świat niemy z przerażenia. Gaje stały w omdleniu, nie śmiąc westchnąć, ani liściem ruszyć... Ciemność wlecze płachty swoje po ziemi, a skały na Golgocie niosą w dal echa jakieś i skargi okrutne. Tylko las stoji cichy, posępny, chłodny i słucha... słucha... słucha...

Nadchodzi wreszcie chwila wielka... pęka zasłona... Spełniło się!... Męka Jego była odkupieniem ludzkości. A dokoła pustka! Tylko hen w dali zda się płynąć do krzyża źródło cierpień człowieczych, wytryska-

jące z ciężkich i bolesnych wydarzeń życia, z zadumy dni smętnych, bezbarwnych i znojnych ugorów, których nie pokryła dotąd ruń nadziei...

Ale cóż to?... Biją dzwony rezurekcyjne! Biją dzwony, niosąc pieśń chwalebną: Chrystus zmartwychwstał!... I płynie przecudna melodja po polskich borach i ziemicach, wznosi się nad łąki, pola i błonia i serca ludzkie porusza. Martwota zdaje się znikać. Żadna kropla krwi rubinowej nie pójdzie na marne. Niech się rozwieje w mgłę wszelka zawiść, a ból i rany niechaj się goją pod dobrotliwem tchnieniem: Alleluja!... Niech da wszystkim utrapionym przystań i palmową gałązkę, niech zażegna wszelką burzę! Niech spłynie ukojnie i powiedzie nas przez góry, doliny i kwietne pola wśród podniebnych, górnych jazd, aż na mleczną drogę gwiazd...

Niech nas powiedzie do Wiosny odrodzenia i świetlanej przyszłości! O to prosimy Cię, Chryste, któryś zmartwychwstał... Odwróć w przyszłości nieszczęścia i wszystko zło od narodu! Niechaj nad Polską ukochaną zapanuje jutrznia nowych dni przejasnych i niech wkrótce nadejdzie odrodzenie miljonów dusz polskich! Niech nam po wieczne czasy biją dzwony rezurekcyjne, głosząc światu: Chrystus zmartwychwstał — Alleluja! *Franciszek J. Tryszczyła.*



Alleluja!

Z nad cichych wiosek, miast i siół
Poranną srebrną rosą
W świegocie ptasząt, brzęku pszczół
Dźwięczne się głosy niosą:
Alleluja, Alleluja!

Bo oto dziś Zmartwychwstał Król
Umęczon na Golgocie,
Za ludzkość poniósł srom i ból —
Za grzechów ludzkich krocie —
Alleluja, Alleluja!

Pokonał pychę, fałsz i zło —
Miłości wzniecił blaski,
Swą Przenajświętszą boską krwią
Otworzył bramy łaski —
Alleluja. Allejuja!

Zasiadł wśród jasnych niebios bram
Girlandą tęcz spowity —
A stamtąd błogosławi nam
I Rzeczypospolitej.

Wanda Rydzówna.

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

Król Dziadów.

Powieść obyczajowa.

— Dobry paniczu! — zawołał Semen namiętnie i pocałował Eugenjusza z zapałem w rękę.

— Słuchaj, paniczu! — mówił dalej. Stary nasz król miał czterech synów i cztery córki i piękny był ród jego, choć mówili, że płynie w nich krew cygańska. I rzeczywiście tak było. Nasz król, gdy był jeszcze młodym, poszedł o żebraczym kiju aż do Dorny, niedaleko ziemi węgierskiej. Tam poznał dziewczynę cygańską, piękną jak bóstwo. Przywędrował wraz z cyganami do Polski. Wrócił do ojcowskiej zagrody wraz z dziewczyną umiłowaną i nie pomogły błagania ojca, aby nie żenił się z cyganką. Wasyl się uparł i ożenił się z uroczą dziewczyną. Niedługo jednak cieszył się jej pięknością, bo ojciec jego nagle umarł a Wasyl jako jego następca został ślepym.

— Jakto! nagle oślepł.

— Bóg to tam wie, jak to idzie między niemi, ale dosyć, że każdy z nich, nim zostanie królem, musi być ślepy.

— To okropne!

— Cóż robić, paniczu! Już to taki zwyczaj! Szczęścia w tem małżeństwie nie było. Cyganka niedługo zaczęła chorować i wkrótce umarła. Synowie zginęli nagłą śmiercią, córki zaniemogły i umarły niedługo. Została tylko najmłodsza Ksenia, piękna jak malowana i ta wyszła za mąż za obcego, który się tu aż z Krakowa przywałęsał. Dzieci Kseni również powymierały, została tylko jedna córka Olanka. Ksenia także niedługo żyła. Pozostała więc staremu Wasylowi jedna tylko wnuczka, to jest Olanka. Ej ślicznota to była, mój paniczu! Kto na nią raz spojrzał, to już i odpatrzyć się nie mógł. To była wasza mamka. Na nikogo spojrzeć nie chciała, aż raz zjawił się młody cygan, czy też Węgier i w tym na śmierć się zakochała. Dziadek nie chciał zezwolić, na poślubienie go, mówiąc, że w ich rodzinie jest i tak dużo krwi cygańskiej.

Olanka jednak o nikim innym słyszeć nie chciała, i choć miała krewnego bardzo bogatego, który się pragnął z nią ożenić, odpowiedziała mu, że tylko kocha cygana i jego żoną zostanie, lub niczyją.

Cygan widząc, że zezwolenia Wasyla nie otrzyma, wyniósł się potajemnie ze wsi. Rozpacz Olanki była nie do opisania. Krewniak, kochając ją szczerze, pragnął oszczędzić jej cierpienia, to też wyruszył w świat za cyganem. I znalazł go aż koło Kęt przy kuźni, bo jak prawdziwy cygan, był doskonałym kowalem. Dobrze mu się tam działo i nie chciał wracać do Olanki.

— Niech o mnie zapomni! — mówił do krewniaka Olanki — bo i tak dziadek jej nie pozwala, żebym ja był jej mężem.

Wszystkie prośby i groźby nic nie pomagały. Wrócił więc krewniak ze smutną nowiną do Olanki. Lecz jak tylko Olanka się dowiedziała, gdzie jej luby mieszka, zniknęła z domu. Wasyl bardzo płakał za donią, i gdyby nie był ślepy, byłby oczy drugi raz wypłakał.

Wiele czasu upłynęło, aż razu jednego, krewniak, udając się pod figurę Pana Jezusa, zwykłe swoje miejsce, spostrzegł siedzącą na kamieniu, postać kobiecą.

Jakież było jego zdumienie, gdy w wynędzniałej, zubożałej kobiecie, poznał umiłowaną Olankę. Ona to była, wraz z dziecięciem swojem. Błagała go, aby dopomógł jej do wyjednania przebaczenia u dziadka.

Krewniak poszedł z matką i z dzieckiem do króla dziadów, i wraz z niemi klęknął przed starym Wasylem. Nie było tego potrzeba nawet. Jak zobaczył ulubioną, ostatnią wnuczkę swoją w takiej nędzy, w takim stanie, nie mógł stary wytrzymać i ryknął takim płaczem, jakim chyba kobiety czasem zawodzą.

To rzekłszy, Semen spuścił głowę i zamilkł, jakby już skończył swoje opowiadanie.

— I cóż dalej? — pytał Eugenjusz rozciekawiony.

— Co dalej?... Paniczu, jak ona was kochała!

— Więc zaraz została moją mamką?

— A tak! Ale cóż z tego, kiedy codzień była słabsza i sama już nieraz o blizkiej rozmawiała śmierci.

— Biedna kobieta!

— Oj biedna! prawda, że bardzo biedna była, gdy jej przyszło pożegnać się z wami paniczu; wtenczas to powiedziała do mnie: — Semenie! pamiętaj zawsze czuwać nad tem dzieckiem. Semen przysiągł i dotrzyma przysięgi. Niedługo potem, Olanka umarła.

— A ten mały jej synek?

— A jest! — odrzekł Semen z obojętnością, która Eugenjusza mocno zdziwiła.

— Tym małym synkiem jestem ja! — ozwał się nagle głos obcy i szorstki, i z poza skały i drzewa wystąpił Iwan z złośliwym uśmiechem na ustach.

— To ty? — zawołał zdziwiony Eugenjusz i przyglądał się młodzieńcowi, tak ładnemu, a o tak wypiętnowanem wszelkiemi zbrodniami obliczu.

— Czego się wałęsasz , Iwanie! — zawołał nareszcie Semen głosem pogardliwym. — Skradać się! podsłuchiwać! to tylko umiesz.

— Chciałem tylko się przekonać, czy twego górala zawiązane oko podbne do niezawiązanego.

— Idź już! — mówił Semen coraz gwałtowniej — bo pójdę do twojego dziadka.

— Do mojego dziadka! — odrzekł Iwan, wykrzywiając twarz szyderczym uśmiechem. — Idę już, nie chcę wam przeszkadzać, ale przyjdzie czas, że i ja sobie przeszkodzić nie pozwolę.

Eugenjusz spoglądał za nim z wzrastającą odrazą.

— Więc to on! on! — mówił wpół zamyślony.

— I ja wtenczas przysiągłem Olance, mówił dalej Semen, że opiekować się wami będę i przysięgi dotrzymam. Wy, paniczu, możecie być szczęśliwym i będziecie nim z Hanią. — Musicie tylko przyrzec mi paniczu, że się stanowczo stąd wyniesiecie.

— Czyliż mi jakie grozić może niebezpieczeństwo?

— Paniczu! paniczu! czy wy wiecie, jak łatwo niebezpieczeństwo przyjść może. Jedźcie! ja was proszę. O pieniądze się nie martwcie, znam ja miejsce w którem jest skarb starego Wiciewicza zakopany...

Pons wstydu oblał lica Eugenjusza. Więc jemu śmiano robić taką propozycję i już chciał wybuchnąć gniewem, lecz widząc dobroduszne oblicze Semena, nie miał śmiałości gniewać się na niego. Zerwał się więc tylko z miejsca swego i rzekł do Semena:

— Ot, marzysz w dzień, zamiast w nocy, mój Semenie. Lecz już późno, jestem zmęczony.

I pobiegł, zostawiając Semena, który w najlepszej wierze przekonany był, że uszczęśliwił Eugenjusza. Tenże zaś myślał nad swoją przyszłością przez całą noc i nie zmrużywszy oka oczekiwał upragnionego ranka, w którym miał zobaczyć Hanię.

I wreszcie przyszedł ranek. Eugenjusz czekał już na wyznaczonem miejscu.

Niedługo nadeszła Hania. Bladość śmiertelna biła z jej lic, tak że w Eugenjuszu serce z trwogi zamarło.

— Haniu moja! — zawołał, Haniu, czy kochasz mnie?

— Kocham! — odrzekła, ale tak cicho i smutno, że aż łzy przeczucia zawisły na oczach młodzieńca.

—Dlaczegoż jesteś tak smutna, luba Haniu? Ja ciebie kocham, jak nikt kochać nie może.

Hania nic nie odpowiedziała; łzy, z początku tłumione, coraz rzęsiściej padać zaczęły z pięknych jej oczu.

— Ty płaczesz? — zawołał przestraszony Eugenjusz.

— Bo dziś ostatni raz się widzimy — odrzekła biedna dziewczyna, głośno łkając.

— Teraz na mnie kolej powiedzieć, że cię nie rozumiem.

— Zapomniałeś, mój Eugenjuszu, co nas dzieli, zapomniałeś, czem są moi rodzice, i że twoi nie zgodzą się nigdy na poślubienie mnie.

Daremne były wszystkie słowa Eugenjusza, daremne prośby, błagania i zaklinania, daremne gniewy i wyrzuty. W dziewiczem i młodem łonie Hani, dzielna mieszkała dusza.

— Eugenjuszu! jeżeli mnie szczerze kochasz, nie nalegaj na mnie. Miej litość nade mną, ja ciebie błagam, i zaklinam, Eugenjuszu! Ja nigdy twoją być nie mogę! To moje ostatnie słowo.

— Nigdy! — jakby echo jakie, powtórzył głos jakiś obcy.

Wzdrygnęła się przerażona dziewczyna.

— Co to znaczy? — zawołał młodzieniec. — Ktoś nas podsłuchiwał.

— I śmieje się z was! — rozległ się ten sam głos, jakby z góry pochodzący.

— Znam ten głos, — rzekła Hania po cichu. — To głos Iwana. Eugenjuszu, unikaj go, bo w tym młodzieńcu jest dusza czarna, jak samo piekło. Bądź zdrów Eugenjuszu! — dodała, uciekając ścieżką ku rodzinnej chatce.

— Haniu! powiedz: do widzenia!

— Do widzenia, mój drogi! — zawołała — tam! — dodała ciszej, zwracając błękitne oczy ku niebu.

— Do jutra! — zawołał za odchodzącą Eugenjusz, lecz snać już nie dosłyszała, bo żadnej na to słowo nie otrzymał odpowiedzi.

Eugenjusz powziął postanowienie, aby wyspowiadać się z swego uczucia p. majorowi i prosić go o wstawienie się do rodziców za nim, to też poszukał Semena, a ten wystarał się zaraz o posłańca i o sposób napisania listu.

9. Jeszcze w Wyżyńcach.

Troska o Eugenjusza w Wyżyńcach była tragiczna. Nikt tam pojąć nie mógł, co się z nim tak nagle stać mogło.

Major uspokajał wszystkich i chwilami sam był przekonany, że to jakiś romans w okolicy stał się tego zniknięcia przyczyną, lecz i on sam miał do swych przypuszczeń wątpliwość, bo się w całej okolicy nie mógł domyśleć przedmiotu romansu tak poważnego. Całe poprzednie postępowanie Eugenjusza, szczupłe jego znajomości i rzadkie wyjeżdżanie z domu nie dawały powodu do podejrzewania go o wybryk tak niespodziewany i romantyczny.

Biedna matka głucha była na wszelkie perswazje i najprawdopodobniejsze tłómaczenia. Ona powtarzała ciągle jedno:

— On zgubiony dla mnie na zawsze. Ja to od dzieciństwa przewidywałam. Nie wiem dlaczego, ale od małego zdawało mi się, patrząc na niego, że patrzę na dziecko jakieś obce, które lada chwila może mi być zabrane. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Ostatnie Alleluja!...

Nadszedł poranek wielkopiątkowy, cichy i spokojny; żaden szmer wiatru nie przerywał tej uroczystej ciszy, co szeroko rozlała się po przestworzach. Złocista tarcza słoneczna raz po raz kryła się za bieluchne chmurki, co leniwie snuły się po czystym niebios błękicie. Jakiś przygniatający smutek panował w całej naturze pomimo ożywczych tchnień wiosny.

Smutniej jeszcze było w chacie Michała, albowiem zawitał tam niepożądany gość — choroba. Żona Michała, kobieta młoda, matka dwojga ślicznych dziateczek, odznaczała się między wielu zaletami także pięknemi rysami twarzy. A oto teraz leży słaba, bezsilna, na łożu boleści i nic sobie pomódz nie może. Mój Boże! — myślała — żeby się to skończyło: umrzeć lub wyzdrowieć... o! wyzdrowieć. Młodość jeszcze nie odbiegła... liczy 24 lata, a już się czuć nad grobem!... ach, tylko nie to — żyć się chce, już choćby tylko dla tych niewinnych istotek. Któż im zastąpi matkę, gdy mnie zabraknie? Któż je przytuli do siebie... kto?... A może jeszcze zdrowie powróci, może wiosna obudzi je na nowo swem ożywczem tchnieniem? Ach, — myślała dalej — co bym ja dała za to, by mi życie zostało przedłużone, chociażby o rok jeden, choć o kilka tygodni!... Nie łudź się, biedna istoto, życie twe gasnące już wykreślone ręką Wszechmocnego z księgi żyjących! Niezadługo już opuścisz ten padół płaczu, by przenieść się tam, gdzie niema cierpienia ni łez.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Trzeciego dnia, skoro tylko rumiana jutrzenka oblała purpurą niebo, rozległ się radosny głos dzwonów, głoszący potężny i zwycięski hymn uwielbienia zmartwychwstałemu Zbawcy, co śmierć zwyciężył i Swem zmartwychwstaniem zapewnił przyszłe pozagrobowe życie ludzkości. I płynął ten radosny głos dzwonów od wioski do wioski, od chaty do chaty, niosąc ukojenie i otuchę w zbolałe trudem ciężkiego życia serca. Świątynie rozbrzmiewały radosnem śpiewem, a echo niosło ten śpiew daleko, i nikło wśród wiejskich zacisznych chat.

Alleluja! Alleluja! płynęło radośnie aż hen, pod strop niebieski. Zabrzmiały organy dźwięcznem głosem, a tysięczny śpiew pobożnych tłumów zlał się z tym dźwiękiem organ w jeden potężny akord: Wesoły nam dziś dzień nastał!... Alleluja!

Radość też panowała w każdej chatce, w każdem sercu; w jednem tylko mieszkaniu tej radości nie było. Smutek, ból, i żałoba, obrały tam sobie siedzibę. Na posłaniu leżała młoda kobieta, jakby już nawpół umarła; ale gdy pierwszy odgłos dzwonu doleciał do jej ucha ocknęła się z tej martwoty.

— Michałku! Wszak to dziś dzień zmartwychwstania? prawda!

— Tak, tak, droga moja Helenko, dzień to radosny dla innych, lecz w mem sercu ból i smutek straszny!

— Idź do stóp Zmartwychwstałego, On pocieszy twe serce, ukoi boleść!...

— Ty umierasz, a ja mam ciebie opuszczać? któż tu zostanie?

— Są dzieci! — a zresztą jeszcze nie umrę.

— I cóż ci ten drobiazg pomoże?

— Idź!... — prosiła.

— Nie mogę cię opuszczać!

— Uczyń tak, to moje ostatnie życzenie!

— A więc pójdę!

Ubrał się odświętnie, spojrzał ze smutkiem na żonę, ucałował jej czoło, blade usta, zawahał się i odszedł.

Znalazł się w świątyni, mimo nurtujących go przeczuć i trwogi ukląkł i modlił się żarliwie, mając ciągle przed oczyma obraz umierającej żony. Po skończonem nabożeństwie, podniósł się z klęczek i pospieszył do siebie. Przed swoją chatą zastał kilku znajomych sąsiadów... Cóżby się stało, czyżby już umarła? Przyśpieszył kroku. Gdy się zbliżył usłyszał z wnętrza dolatujący go słaby śpiew. Stanął na progu. Helena leżała spokojnie nawznak, z oczyma utkwionemi w coś, czego on nie widział, a z ust jej, na których już kładły się liljowe cienie śmierci, płynęły ostatnie dźwięki nieskończonej pieśni. Stanął nieruchomo na środku izby, jakby się bał spłoszyć z ust żony ten dźwięk głosu jemu tak miłego, którego już więcej nie miał usłyszeć. Zamilkła na chwilę, a potem prawie szeptem wymówiła: Alleluja! Było to ostatnie słowo jakie z siebie wydała.

Michał stał jak skamieniały. Smutek wiał z tego obrazu i zdawał się go przygniatać do miejsca, na którem stał. Milczenie zaległo — tak iż słychać było bicie serc obecnych. Stali wobec śmierci, a nie wiedzieli, że już swój łup odebrała.

— Helenko! — zawołał Michał.

Ale ona nie dała żadnej odpowiedzi, nawet się nie poruszyła. Przypadł do łóżka żony, wziął jej ręce, — powiał na niego chłód śmierci, a oczy jej rozwarte szeroko, zdawały się patrzeć w ekstazie w dal niedościgłą.

— O mój Boże! — umarła! — niemasz jej już, — biadał wśród łez Michał.

— Nie rozpaczajcie, Michale, pocieszała go sąsiadka. Bóg dał, Bóg wziął, nikt wyroków Jego nie zmieni; Bóg zasmucił, Bóg pocieszy.

To mówiąc, zbliżyła się do zmarłej i zamknęła jej powieki i usta rozchylone, na których igrał ostatni słodki uśmiech pokoju.

Michał ukląkł przy zmarłej, zakrył twarz drżącemi rękoma a wielkie, ciche, gorące łzy spływały z oczu i przeciskały się przez jego szorstkie palce — płakał jak dziecko.

Nadszedł dzień trzeci. Z wieży kościelnej jęknął żałośnie dzwon, a z jednej z chat wyruszył orszak żałobny, kierując się ku cmentarzowi. Za trumną szedł Michał prowadząc za rączki dwie sierotki, którym okrutna śmierć wydarła matkę. Łkanie bolesne, ciche, szepty modlitw i żałosny śpiew towarzyszyły pochodowi. A na cmentarzu? ani jedno oko nie pozostało suche. Trumna spoczęła na dnie mogiły, a rozkołysany dzwon słał zmarłej ostatnie pożegnanie.

Odeszła Helena po ostatniem Alleluja! na tem padole płaczu do krainy zmartwychwstania, by tam wiecznie nucić ten radosny, zwycięski hymn wielkanocny: Alleluja! *Marja Wawrzykówna.*

Nastał dzień trzeci...

Nastał dzień trzeci, triumfu, wesela
Boskiej potęgi — majestatu chwały —
Pękł grobowy kamień Zbawiciela,
Przy którym zbrojne kohorty czuwały...

I wyszedł Zbawca w glorji słonecznej
Błogosławiący światu i ludzkości,
Za którą wylał tyle krwi serdecznej,
Znosząc mąk krocie w bezmiernej miłości.

Zagrały dzwony pieśń wielką hosanna!
Przed przenajświętszym dokonanym Cudem
Lud schylił czoła — upadł na kolana,
A Bóg znak święty uczynił nad ludem! —

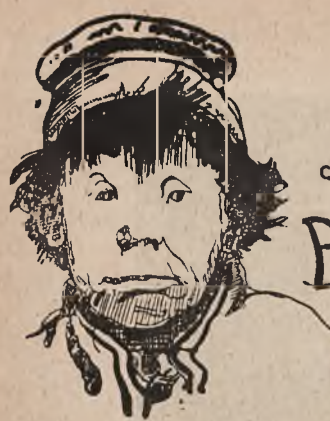
Przeminął Piłat, Neron, Trajan dumny,
Bar Kochba — Hadrjan, a Chrystus króluje!
Złocą się świątyń potężne kolumny,
Które miljony serc wdzięcznych buduje.

Robert Rydz.

REZUREKCJA WIELKANOCNA W JEROZOLIMIE.



Do najpiękniejszych, do najbardziej wzruszających obchodów religijnych należy bezsprzecznie Rezurekcja. To też niemal każdy, kto żyje, spieszy na nią, aby się nacieszyć Zmartwychwstaniem Pańskiem. Oczywiście w wielkich miastach wypada ona wspanialej, po wsiach skromniej, ale wszędzie oczekują jej z prawdziwem upragnieniem. I nietylko u nas, ale na całym świecie. Na obrazku naszym widzimy uroczystą procesję rezurekcyjną w Jerozolimie i tylko stroje tamtejsze różnią ją nieco od naszej.



MACIEK BZDURA GADA:

Słuśnie powiadają ludzie, ze jedno i to samo nie zawse bywa jedno i to samo. Kuzda rzec zalezy od tego, kto, co, gdzie i jak ją robi, a gdy się to dopiero dokumentnie rozwazy, to dopiero się wie, kto, co, gdzie i jak zrobił.

Weźmy na przykład taki pust, który chwała Bogu juz się końcy. Gosposia poscą, gospodarz poscą, Kaśka pości i ja poscę. Ale myślicie, ze wszyćkie nase posty jednakowe. Bogać tam! Ja na przykład poscę od wszyćkich dziesięciorga przykazań Boskich, ale gosposia to moze ino od dwóch, albo trzech najwyzej. A i to poscenie gosposine a moje jesce niejednakowe. Bo weźmy na to takie jedzenie. Ja bez calusieńki święty pust ni miałem na podniebieniu nietylko świńskiego ogona, ale nawet ani krztynki masła, cy mlika, albo twarogu. Zimniacków mi ta gosposia, Boże odpuść jem wszyćkie grzychy, jak będą w piekle, nie załowali, ale przecie i zimniackowi, jak idzie sam do wanciucha, to się przykrzy i długo tam nie posiedzi. Bez to ucieka na światłość ziemską, a we wnątrzu robi się taka pustać, jak w Afryce na Saharze i wiatry tam ino świscą, a świscą, jakoby na halach tatrzańskich. I zeby cłeka nie rozerwało na osiem połówek, trzeba znowu wnątrze cem zaspokoić. I tak cięgiem i cięgiem. A potem ludzie powiadają, ze chłop zre nicem nieboskie stworzenie.

Co insego gospodyni. Oni se w cichości ducha podleją zimniacki mlikiem, podmascą masełkiem i choć ich niewiele w siebie wsuną, to wszyćko w towarzystwie ućciwem siedzi se w nich, bo mu jest dobrze i wesoło. Latego gospodyni mniej i rzadziej musą gębę do jedzenia otwirać. Co prawda jest ona jem potrzebniejsa do wyrcenia na mnie lub na gospodarza, ale jakby ją trzeba było częściej na jedzenie zuzyć, toby miała choć w tem kierunku odpocynek.

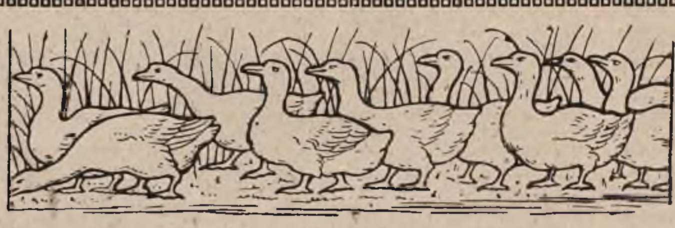
A weźmy znowu takiego hrabiego z wielkiego miasta, co to albo w sklepie kisecki sprzedaje, albo w jaki fabryce robotnicemi rękami różności wyrabia, on jesce mniej wsuwa od mojej gosposi. Ale co wsuwa? Jak ino przychodzi święty pust, to on idzie do jegomościa w parafiji i powiada, co on musi ciezko pracować (co prawda pracuje, ale nie swojemi rękami, ino robotników), więc prosi o dyspengze. Składa ochwiarę na kościół, bo ma piniędzy, jak nie przymierzając kuzda baba pchłów, i dostaje dyspengze, co mu wolno jeść dwa razy na dzień, ile chce.

I taki hrabia miastowy obsyrmuje pust, jak się patrzy. Gdy wstanie raniuśko wele połednia, kaze se przyniść na przetrącenie kawałecek świniny (choć hrabia, ale takiem paskudnem mięsem się nie brzydzi) i jaką godzinkę albo dwie przed obiadem se to przetrąci. On to nie nazywa jedzeniem, ale poranną przekąską. Za jaką godzinkę, albo dwie zacyna się obiad. Niewiele tam tego, ale parę kotlecików, parę śnycełków, a potem leciutka leguminka, a potem likierek, a potem butelcyna winka, i krztynka carnej kawy i tak z tem wytrzyma do popołednia, kiedy jesce cojnieco wsunie na poprawiny i juz jest kwita z pirsem jedzeniem. Drugie idzie dopiro wiecór. Ocywiście ze nie wepcha w siebie, jak chłop, ani misice zimiaków, ani baniacka barscu. On se delikatniuśko, bo to pust, wsunie z pół funta synecki, a potem na dodatek kawałecek kacaski i gąski, popije winkiem lub piwkiem i prawie o głodzie idzie na całonocny spocynek.

I juz taka jest niesprawiedliwość, ze w świętem poście nawet chłop się obzyra, a bidny hrabia miastowy pości, jak na poboznego katolika przystało.

I dziwić się potem, ze jak przyjdą święta i cłek doceka się tej scęśliwości, ze choć raz w rok nikt mu nie rachuje co i ile zje, ze potem chłopa wanciuch rozboli, a hrabiemu nic nie skodzi. Bo trzeba zawse w miarę i z umiarkowaniem. Hrabia, cy to pust, cy Wielganoc, zawse jednakowo zajada se statecnie, a chłop w poście napycha brzusysko zimniakami, to potem jakze tam i gdzie mają się utrzymać takie delikatne rzecy, jak kiełbasa, abo spyrka? Zreştą co się tam ma trzymać? Zeby to gosposia dali choć tyle, zeby tem mozna było całe wnętrzności wypełnić, toby tam jakosik to tu, to tam jednem cy drugiem końcem zawadziło i choć parę dni we wnątrzuby siedziało, ale taka ociupinka, jak się dostanie do żołondka, to się tam ino pooględa na wszyćkie strony i leci dalej na złamanie karku. A potem ludzie dziwują się, ze cłek po świętach się rozchorzał i powiadają, ze to z przejedzenia. Niechby mi kto znalazł takiego cłeka na świecie, któremuby moja gosposia dała się przejeść.

Niktórzy ludzie ciesą się na nadchodzące święta i powiadają, ze zywot się jem naprawi. I jabym się ciesył, ale jakze się mam ciesyć, kiedy juz z góry wiem, ze on się na godzinkę, lub na dwie naprawi, a potem na jakie dwa tygodnie się popsuje, ze mu ani zaden hadukat nie pomoze. Niech się więc ciesą ci, którzy po hrabsku bez cały pust pościli, ale nie ja!



Przyjdź już wiosenko.

Przyjdź już wiosenko w swej przekrasnej szacie,
Och w tobie prędzej o chwilę radosną,
Przyjdź w swej rozkoszy, czaru majestacie,
Złota królewno, — tęsknię do cię wiosno.

Tęsknię do lekkich powiewów wietrzyka,
Który leciuchno zbożami szeleści,
I do rączego w parowie strumyka,
Który szemraniem ducha mego pieści.

Tęsknię do boru, gdy modlitwę śpiewa,
Gdy swoje dumne korony kołysze,
Gdy cudną słodką symfonję wygrywa.
Kojąc me serce, upajając duszę.

I do tej orki na ojców zagonie
Dla nas tak miłej, ochoczej i rączej,
By ująć płużek w opalone dłonie,
Rozsiewać ziarno przy pieśni skowrończej.

Przyjdź cudna Wiosno w swej przekrasnej szacie,
O przyjdź nareszcie, daj chwilę radosną,
Złota królewno w czaru majestacie
O przyjdź nam piękna. Tęsknię do cię Wiosno.

Franciszek Macioł.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zulusi II.

Zulusi pod względem powierzchowności i fizycznej budowy ciała nader piękny typ stanowią. Sam widok silnych, zręcznych i barczystych tych ludzi mimowoli nasuwa myśl, że są to godni potomkowie mężnych wojowników Czaka i że chcieliby również, jak ich przodkowie, być niepodległymi i wolnymi. Nierzadko pomiędzy nimi zdarza się spotkać prawdziwych olbrzymów. Na nieszczęście gnuśność i lenistwo są wrodzone u tego ludu. Jakże wybornie mogliby pracować tak silnie zbudowani mężczyźni! Wyjątkowe tylko okoliczności zmuszają ich do ciężkich i wytrwałych trudów. Długa, piesza wędrówka pod palącymi promieniami słońca i z ogromnym ciężarem na głowie jest dla Zulusów drobnostką. Dziwić się niekiedy potrzeba, widząc z jaką łatwością znoszą wszelkie niewygody i znużenie, a zarazem, jak mało potrzebują jadła. Zupełny brak pożywienia w przeciągu dnia całego zdaje się najmniejszej nie sprawiać im przykrości, z drugiej strony ilość jadła, spożywanego przez Zulusów na ucztach, jest prawie przerażającą.



Zuluska mieląca zboże.

Najulubieńszym ich pokarmem jest kawał mięsa, choćby tylko zlekka przypieczonego. Sztuka kulinarna redukuje się u nich do jak najprostszych pokarmów i jeszcze prostszego sposobu ich przyrządzania. Wprawdzie niekiedy gotują oni mięso w kociołku lub garnku glinianym, ale daleko częściej trzymają je poprostu przez chwil kilka na rozżarzonych węglach, to zaś, że jest ono spalone na zewnątrz, a wewnątrz surowe, mało ich obchodzi. Następnie każdy chwyta kawał mięsa, używając za jedyne narzędzie do tego spożycia tylko palców i ślicznych białych zębów. Nieraz też jednego dnia Zulus je za trzech, aby nazajutrz zachować post ścisły w całem tego słowa znaczeniu.

I inne pokarmy nie są wybredne. Z mąki utartej kamieniem na zwykłej desce, gotują coś w rodzaju kleistej papki, lub pieką z niej, a raczej wysuszają coś w rodzaju chleba, którego jednak nikt z Europejczyków do ust by nie wziął. Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie Zuluskę, która w otoczeniu dzieci miele zboże na mąkę. Nie trzeba zwracać na ten jeszcze pierwotny sposób przyrządzania pożywienia uwagi. Mąka utarta w ten sposób musi być gruba i pełna ości.

Jeżeli mięso jest dla Zulusów wyśmienitem jadłem, to z drugiej strony piwo, zwane „usthwala", stanowi jego ulubiony napój. Piwo to dość gęste, szaro-czerwonego koloru, wyrabia się z pewnego gatunku zboża, znanego pod nazwą „amabele" i tylko użyte w bardzo wielkiej ilości działa uspokajająco.

We wszystkich zabawach publicznych, zebraniach, naradach, a zwłaszcza ucztach weselnych, napój ten bardzo ważną odgrywa rolę. Ogromne misy i flaszki tykwowe opróżniają się wtedy ze zdumiewającą szybkością. Niebawem wszystkich ogarnia wesołość, gwarzą więc, śmieją się, śpiewają, a wreszcie zaczynają się kłócić i często ożywiona zabawa powszechną kończy się bójką. Zwykle jednak już nazajutrz zacięci wczorajsi przeciwnicy stają się najlepszymi przyjaciółmi.

Jako charakterystyczny rys Zulusów podnieść należy, iż nie znają oni zupełnie kłamstwa ani oszustwa. Jeżeli jednak ludzie ci nie grzeszą kłamstwem w ścisłem tego słowa znaczeniu, polegającem na zaprzeczaniu prawdy, to natomiast umieją z nią się rozmijać w sposób nadzwyczaj przebiegły, przedstawiając rzeczywistość w najfałszywszych kolorach. Są oni mistrzami w sztuce przedstawiania wszystkiego w zupełnie odrębnem świetle, niż jest w rzeczywistości. Jeżeli w interesie Zulusa leży oszukanie białego, to potrafi on wyśmienicie ukryć, przesadzić, zmniejszyć rozmaite okoliczności, służące mu do osiągnięcia zamierzonego celu tak, że właściwie nie skłamie, ale biały zrozumie wszystko inaczej, aniżeli było naprawdę.



Poszukiwacze złota w Afryce.

Wielu Europejczyków, znających Zulusów tylko powierzchownie, nazywa ich niemądrymi, bezstronny jednak znawca ma o nich inne pojęcie. Zulus nie jest bynajmniej ograniczony; można nawet twierdzić, że odznacza się on inteligencją, chociaż skutkiem braku wykształcenia, znajduje ona się jakby w letargu. Trzeba ją tylko obudzić i do życia przyprowadzić. I tu piękne zadanie mają Europejczycy. Niestety, prócz misjonarzy, którzy pracują nad wykształceniem tamtejszych mieszkańców, inni Europejczycy myślą tylko

o własnem wzbogaceniu się. A południowa Afryka nadaje się do tego w dużym stopniu.

W południowej Afryce, a więc w Transwalu, Oranji, Natalu i Zululandzie znajduje się dość w dużych ilościach złoto. Nie występuje ono i tu, jak zresztą wszędzie na świecie, w wielkich ilościach, ale tu i ówdzie tworzy żyły wśród skał, lub tylko jest wpryśnięte w te skały, albo w złożach, powstałych z biegiem czasu z rozkruszonych skał, lub też w piasku wielu rzek tamtejszych. Poszukiwacze złota kruszą więc skały, rozgrzebują złoża skalne, lub też przepłukują piasek rzeczny i wybierają z niego drogocenny metal. Takiego przepłukiwacza widzimy na naszym drugim obrazku.

Praca poszukiwaczy złota jest żmudna i niezawsze się opłaca, gdyż czasem dni i tygodnie schodzą, a człowiek nie znajduje więcej złota, a czasem nawet tyle go nie znajdzie, aby ono mu wystarczyło na codzienne wyżywienie. Ale znów kiedy indziej, gdy mu szczęście posłuży, w przeciągu kilku godzin zdobywa tyle mienia, że może mu ono wystarczyć na całe życie. Zależy to wszystko od przypadku, od szczęścia i nic tu żadne obliczenia, ani wytężona praca nie pomogą, a jedynie zbieg okoliczności jednego zbogacić może, podczas gdy drugi mimo wielkich wysiłków niczego nie uzyska.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

— O ten dom, to istne piekło! — zawołała Iza.

— Ten hałas panią przestraszył, — ale nic zresztą nie było więcej. Teraz będzie tu spokój niezmącony, by pani mogła wyspać się ze swem dzieckiem.

Naraz rozległ się strzał.

Iza zbladła przelękniona. Zerwała się, aby wyglądnąć oknem i przekonać się, co zaszło. Potem udała się z Ewensem na górę.



Iza zerwała się, aby wyglądnąć oknem.

Tutaj przedstawił się im straszny widok.

Oto leżał Silver raniony ciężko, a obok niego stał Harry.

Harry oznajmił wchodzącym, że Silver został postrzelony przez białą kobietę, która robiła wrażenie ducha.

Ewans przeszukawszy wraz z towarzyszem wszystkie pokoje, a nie znalazłszy nikogo, zwymyślał Harrego za zmyślanie bajek o duchach. Potem przeniósł rannego Silvera i udał się na spoczynek.

Iza do rana już nie spała, a tylko z tęsknotą oczekiwała końca tej nocy.

Nad ranem, udała się na poszukiwanie Janika i znalazłszy go, opowiedziała mu o wszystkiem i prosiła, aby przygotował wszystko do wyjazdu, poczem wróciła do śpiącego dziecka.

Gdy już były gotowe do drogi, zeszły po cichu na dół, lecz tutaj czekał nowy zawód.

Otóż Antoni zawiadomił Izę, że nie mogą jechać, ponieważ jakiś łajdak, dręczyciel zwierząt, poprzecinał koniom ścięgna u tylnych nóg, tak, że się nie mogą podnieść i nigdy już chodzić nie będą.

Iza patrzała przed siebie zamyślona. Ogarnęła ją wielka rozpacz.

Wtem otwarło się okno.

Ciekawa twarz Jessy ukazała się w jego szczelinie.

Posłyszała tentent konia, bo wyszła przed drzwi.

Jakiś jeździec pędził w galopie około klombu starych drzew, okrążył je i zmierzył ku dworowi.

Widać było, że jedzie na dziwnej piękności rumaku, który zarżał czując blizkość stajni.

Cała powierzchowność jeźdźca znamionowała bogatego plantatora.

Jessy zdawała się wiedzieć zaraz, kto przybywa, bo wybiegła naprzeciw niego, aby mu potrzymać konia.

Kiedy jednak stanęła tuż przed nim, widać było, że się zmieszała.

Jeździec zatrzymał konia. Teraz rzucił cugle Jessy.

Iza i Janik nie mogli jeszcze dokładnie widzieć z pod szerokiego ronda kapelusza rysów przybyłego.

Domyśleli się jednak, że to musi być plantator.

Iza, kazała natychmiast Janikowi udać się do niego i prosić, aby dopomógł im do wyjazdu i ukarał tego, kto tak okropnie pokaleczył jej konie.

Gdy Janik zjawił się przed plantatorem, tenże przyglądnął mu się uważnie i coś zabłysło w jego czarnych oczach.

— Kto jesteście i jakim sposobem tu przychodzicie? — spytał.

— Milordzie, — odpowiedział Janik, muszę prosić pana o ochronę. Pani moja miss Oldenburg, zajechała tu wczoraj, prosząc o gościnność na jedną noc. Przez tę noc jednak wyrządzono jej wielką przykrość, bo okaleczono jej konie i są niezdolne do użytku.

Przez cały czas opowiadania Janika, na twarzy plantatora drgał szyderczy uśmiech, poczem rzekł, że w takim razie będzie musiała jak na teraz zdecydować się na podzielenie z nim jego haciendy, oraz, że wszyscy będą jej musieli okazać należne względy, aby czuła się jak u siebie w domu.

22. Rogers i straż przyboczna.

Pułkownik Rogers tego wieczora zbliżał się na koniu do haciendy plantatora Vermonta.

Zobaczył trzech jakichś cudzoziemskich, jak sądził, żołnierzy, którzy poczęli mu się bacznie przyglądać.

Byli to Harry, Silver i bakałarz, którzy przebrani byli za żołnierzy.

Rogers podjechał do nich na koniu.

— Kto jesteście? — zawołał.

Bakałarz przybrał bezczelną, wyzywającą minę.

— To nam właśnie pytać należy, kto wy, a nie wam nas, odpowiedział.

— Kto ja jestem, to widzicie z mego munduru, jestem pułkownik policji Rogers.

— My nie znamy żadnych pułkowników, uznajemy tylko jednego pana, a tym jest plantator Vermont, — odparł bakałarz.

— Czy nie przybyła tu czasem kobieta jedna z dzieckiem swoim powozem?

— Tu na haciendę? Nie! Ale wczoraj na głównym trakcie widzieliśmy taki powóz podróżny, — odpowiedział bakałarz.

Rogers, nie mogąc od nich nic więcej wydobyć, spiął konia ostrogami i popędził dalej szerokim traktem.

Naraz zobaczył przed sobą zbliżającego się ku niemu wolno jeźdźca.

— Hej! — zawołał, — jesteście tu pewnie znajomi w tej okolicy, ja jestem pułkownik Rogers i chciałbym dojechać do najbliższego miasta. Czy nie moglibyście wskazać mi najkrótszej drogi?

Jeździec zatrzymał konia.

— Ojcze niebieski — odpowiedział, — ależ to prawdziwe szczęście, że pana tu spotykam panie pułkowniku! Ja jestem Antoni Janik i służę u pani Norden!

— To wy? — zawołał uradowany, — a gdzież jest wasza pani?

— Pani Norden jest tam, w haciendzie plantatora Vermonta.

— Tam jej niema, przed pół godziną może dopiero spotkałem trzech ludzi ubranych jak żołnierzy, którzy mi powiedzieli, że w haciendzie niema żadnej kobiety.

Janik zaniepokojony opowiedział pułkownikowi o wypadkach zaszłych, ubiegłej nocy i wyraził zdanie, że natychmiast pokryjomu, należy wrócić do haciendy.

Pułkownik Rogers przyznał mu słuszność i wkrótce wyruszyli pieszo w stronę haciendy, konie zaś przywiązali w gęstych zaroślach.

Janik, jako przewodnik, szedł przodem.

Obydwaj przybliżali się ku werandzie.

— Ależ tu na dole całkiem ciemno, — rzekł Rogers cicho.

— I mnie to również wpadło już w oczy, — odpowiedział Antoni.

Poczem przystąpił do drzwi.

Nie były zamknięte.

Weszli i przymknęli drzwi za sobą.

— Czy tu jest pani Norden? — zapytał Rogers.

— Tak, tu, a może w tylnym pokoju.

— Pani Norden, — zawołał pułkownik przyciszonym głosem, — pani Izo!

Wszystko pozostało cicho.

Żadnego szmeru nawet.

— Czyżby miała już spać? — dodał Rogers.

Janik po ciemku domacał się drzwi sypialni.

Otwarł je.

I w sypialni było również ciemno.

Na jednym stoliku stała świeca woskowa.

Antoni ją zapalił.

— Tu nikogo niema, — rzekł Rogers.

Otomany były puste. Ani Izy ani dziecka nie było w sypialni.

Rogers powrócił do pierwszego pokoju.

— Poświećcie, — zawołał.

Wszedł Janik ze świecą. Twarz jego zdradzała przestrach i obawę.

— Uciekła! — rzekł cicho.

— Dokądżeby jednak poszła w ciemności? I pieszo! I z dzieckiem!

Antoni stał całkiem bezradny.

— Co zrobimy teraz? — szepnął.

— Trzeba jej szukać w pobliżu wszędzie, przekonać się, gdzie się udała.

Antoni zgasił świecę postawił ją na stole a potem razem z Rogersem opuścili cicho pokój.

Przez werandę wyszli niepostrzeżeni na dwór.

Okrążyli dokoła haciendę i kiedy obydwaj doszli do tylnej ściany stajennego budynku, posłyszeli nagle półgłośne wołanie.

Rogers zatrzymał się, a Janik obrócił zdziwiony.

Z ciemności, którą tworzył cień budynku, podniósł się jakiś mężczyzna.

— To ja, Jack, nadzorca, — ozwał się szeptem, — a jeśli się nie mylę, to pan jesteś towarzyszem, czy woźnicą tej obcej pani, która tu przybyła ze swem dzieckiem.

— Pewnie kazano wam tu straż trzymać i uważać na wszystko, co się dzieje? — spytał.

— Sądzicie, że z polecenia nowego plantatora tu się znajduję! To mylicie się bardzo! Plantator nie jest moim przyjacielem.

— Ale przecież jesteście w jego służbie.

— Te łotry, które stanowią jego straż przyboczną, wtrącili mnie dziś do komórki, on zaś sam groził wrzuceniem do jamy.

— Czy wiecie Jack, kto tak poranił nasze konie? — spytał teraz Janik.

— A któżby inny, jeśli nie któryś z jego przybocznej straży.

— A ja miałem was w podejrzeniu.

— Toście byli na całkiem fałszywym tropie, — ale cicho, — co to jest?

— To plantator, — rzekł Antoni zcicha.

— Co on woła? — co to za wrzawa, spytał Rogers.

— Wiem już, — odpowiedział cicho Jack, — czas jest, abyści się panowie ukryli przed nim. Chodźcie, wejdźcie tutaj.

Otworzył małe drzwiczki.

— Ale my szukamy lady i dziecka, rzekł Antoni.

— Jej szuka teraz tak samo plantanor, — mruknął Jack.

Antoni zatrzymał się przerażony.

— Boże! — jęknął.

— Podajno mi pan rękę, a drugą podaj temu panu w mundurze.

— Dokądże nas prowadzicie? — spytał Janik, podając jednak rękę nadzorcy w nieprzeniknionej ciemności.

— Do tej lady, której szukacie.

— Gdzież ona jest? Co się z nią stało? — wtrącił Rogers niecierpliwie.

— Umarła! — odpowiedział Jack.

Rogers przeląkł się okropnie.

— Umarła? — rzekł na miłość boską, czyż to podobna, by umarła?

— Sami zobaczycie... Chodźcie!

— To niemożliwe, — wołał, — gdzie kiedy, — w jaki sposób miała lady śmierć znaleść? Gdzie się podziało jej dziecko?

— Dziecko jest przy niej.

Jack szedł przodem. Nie mówił ani słowa, dał znak tylko obu innym, aby szli za nim.

Z zapartym oddechem, pełni oczekiwania weszli Rogers i Janik w zdziczały zapuszczony sad, leżący na uboczu, obok dworu.

W blasku księżyca połyskiwała w gąszczu drzew okrągła kopuła.

W tę stronę Jack się zwrócił.

W części ogrodu ponurej i zarosłej drzewami wznosiła się niewielka kaplica.

Kilka szerokich stopni prowadziło do drzwi kaplicy.

Jack naprzód wszedł po tych schodach i otworzył wielkie, szerokie drzwi.

Teraz dopiero zrozumieli idący za nim, gdzie ich prowadzi. Po jednej stronie okrągłej tej, nawpół tylko oświetlonej kaplicy, stała szeroka sofa nizka, obita niebieskim aksamitem, nad którą rozpięty był baldachim z ciemno-purpurowej ciężkiej jedwabnej materji, bogato złotem przetykanej.

Na tej sofie spoczywała w tej ciszy i odosobnieniu Iza, jak się zdało nieżywa.

Obok niej klęczała mała Liddy, blada i wystraszona.

Pułkownik ujrzawszy w słabem tem świetle leżącą Izę, złożył jak do modlitwy ręce.

Tak stał przez chwilę przejęty głęboko.

Wtem uroczysta cisza i to wzruszenie, głębokie, nagle zostało przerwane.

Mała Liddy, skoczyła, wyciągnęła do wchodzących ręce, biegnąc ku nim! (Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod opieką Anioła Stróża.

Legenda.

Wielki nasz mistrz pióra, Adam Mickiewicz, będąc swego czasu w Szwajcarji, napotkał tam w pewnej wiosce kapliczkę, w którejże to umieszczony obraz niezmiernie go zainteresował. Stare to malowidło przedstawiało średniowieczną damę, a raczej cień kobiety unoszącej się w powietrzu tuż nad opuszczonem siodłem, obok jakoby zwalczony tem zjawiskiem szatan, wydając iskry z pyska, zapadał się w kurzawie dymu i ognia w ziemię.

Nieco dalej stał rycerz i rozpaczliwym ruchem podnosił ręce do góry, a wokoło snuły się zbrojne postacie, uciekając w popłochu.

Dowiedziawszy się treści tego malowidła, opowiedział takową legendę córce swojej Marji, która to niebawem opisała.

Mieszkał kiedyś w tej okolicy hrabia Wolter, pan możny i bogaty. Słynęła wszędzie z piękności młoda jego żona, ale jeszcze bardziej słynęły jej cnoty i pobożność, a męża jej nazywano najszczęśliwszym z ludzi, ale jak wszystko, tak też i to szczęście nie długo trwało.

W owym to czasie przyjechał w te strony rycerz, którego nikt nie znał i który nikomu swego nazwiska ani pochodzenia nie chciał wyjawić. Mówił, że mu „veto“ tego wzbrania do pewnego czasu.

Wobec tego nazywano go czarnym rycerzem, niby wedle barwy, jaką nosił, i nie mniej chętnie go przyjmowano, domyślając się, że z wysokiego musiał być rodu, wnioskując z dostatków, któremi chojnie szafował.

Zamieszkawszy w bliskiem mieście, dom urządził z niewidzialnym dotąd przepychem i spraszać począł okoliczną szlachtę, a więc i męża pięknej Aldy. Dzień w dzień bywały u niego huczne zabawy, a na pierwszem miejscu gra szalona, w którą to powoli Wolter dał się wwikłać, niby w zastawione sieci, i tak wśród gwaru uczt i rozrywek, które go odrywały od żony i domu, z każdym dniem gwałtowniej rozwijała się namiętność do gry, podsycana ciągłymi szansami.

Nieraz całą noc spędziwszy u czarnego rycerza, a o świcie dopiero obładowany złotem, upojony powodzeniem, powracał do sweg zamku, obojętny na niepokój i cichy smutek tej, która go oczekiwała.

Pewnego wieczoru jednak zaczął przegrywać. Czarny rycerz zaś był jego przeciwnikiem, i raz wraz zagarniał jego stawkę z obojętnym i szyderskim uśmiechem, który powiększał zaciekłość Woltera.

Goście się porozchodzili, a sam na sam obydwaj gracze pozostali, bo hrabia mniemał, iż się odegra, że szansa się przecież zmieni.

Gdy pieniędzy już zabrakło, postawił łańcuch złoty, konie, broń, psy, srebro, no i wszelkie klejnoty, wreszcie ziemię i zamek dziedziczny.

Oślepiony i roznamiętniony poprzestał dopiero, gdy mu już nic do przegrania nie pozostało. Wówczas czarny rycerz, zawsze spokojny i uśmiechnięty, uprzejmie ozwał się do zrujnowanego gościa, że zwróci mu wszystko dotąd przegrane, byle zgodził się zagrać raz jeden, a na kartę... postawi hrabinę. Wygrywając; nic nie utraci z mienia swego, przegrywając, odda rycerzowi jeno Aldę. Straszna musiała być namiętność Woltera, strasznym musiał być wpływ szyderskiego spojrzenia, które na nim ciążyło, kiedy Wolter przyzwolił skinieniem głowy.

Los jeszcze raz go zawiódł, i gdy się chciał jeszcze opierać i wzbraniać, bełkocząc, że przecież to niemożliwe, chociażby dla rodu i dla świata... kusiciel odpowiedział, że i o honor jego jest dbały, jak on sam, i że tak tę sprawę urządzi, aby nikt o niczem nie wiedział i nie mógł się dowiedzieć.

Hrabia miał nazajutrz rano namówić żonę na spacer konny, i jednego tylko pazia wziąść ze sobą. W lesie tam, gdzie od pięciu dębów pięć dróg się rozchodzi, przygotowana będzie zasadzka, i poczet zbrojnych napadnie na nich i porwie hrabinę, — paź poświadczy obronę, i że męża zwalczyła zbyt poważna siła, a świat otoczy współczuciem pokrzywdzonego, i daremnie z nim poszukiwać będzie sprawców gwałtu.

I odjechał Wolter do zamku, którego za taką cenę, pozostał panem, a rano wyruszył wedle umowy konno z żoną do lasu, a za nimi podążał najmłodszy z ich paziów, mały chłopaczek.

Droga prowadziła około wiejskiego kościółka, Alda wstrzymała konia przed kruchtą, mówiąc mężowi, iż pójdzie się pomodlić. On nie mógł oprzec się jej żądaniu, ale sam pełen tak grzesznych myśli, nie śmiał wejść do domu Bożego, wymawiając się bólem głowy, a prosząc, by długo nie kazała czekać na siebie. Wkrótce też wyszła hrabina z kościoła, z niezwykłym wyrazem powagi i zadumy na bladej twarzy, — mąż chciał jej dopomódz wsiąść na konia, ale nie mówiąc mu ani słowa, uniosła się tak szybko i lekko, że znalazła się na siodle, zanim poczuł dotknięcie jej stopy.

Jechali przez las milcząco...

Gdy na zakręcie drogi ukazało się pięć dębów, Alda spojrzała na chmurnego męża, a w jej wzroku było tyle żalu, że hrabia zadrżał cały, i już chciał uciekać z nią razem..., ale podczas tej chwili, wyskoczyła z poza drzew zgraja ludzi zbrojnych zamaskowanych. Kil-

ku z nich rzuciło się na Woltera, krępując jego ruchy, a czarny rycerz również zamaskowany, poskoczył ku Aldzie, i chwycił za cugle jej konia. Ale zaledwie spojrzał na nią wydał straszliwy okrzyk przerażenia.



Maska spadła mu z twarzy, odkrywając szatańskie oblicze, wykrzywione bezsilną furją, — runął na ziemię, miotając rogatą głową, gryzł piasek zgrzytając zębami, aż wokoło buchnęły płomienie, wśród których zapadł się w ziemię.

Odrętwiały z przestrachu Wolter spostrzegł, że i żona jego uległa dziwnej zmianie. Wznosiła się powoli w górę, jakoby ciągniona niewidzialną siłą, a zarazem stawała się coraz bledszą i powiewniejszą, poczem rozpłynęła się w powietrzu.

Hrabia znalazł się sam jeden — napastnicy zniknęli, paź uciekł,— gdyby nie wierzchowiec Aldy, byłby mógł pomyśleć, że wszystko, co zaszło przed chwilą, było snem złowrogim.

Ale z poczuciem nieubłaganej rzeczywistości, — ocknął się w Wolterze głos sumienia. Wpływ nieczysty, pod którym dotąd pozostawał, który go oślepiał, rozwiał się nagle. Miotany wstydem, bólem i skruchą, zapragnął przedewszystkiem się pomodlić, tam, gdzie ona przed chwilą się modliła i błagając o przebaczenie, najostrzejszą zadać sobie pokutę. Pospieszył więc z powrotem do kościoła.

Przed ołtarzem klęczała tylko pogrążona w modlitwie kobieta, z ubrania i postaci tak podobna do Aldy, że Wolter zatrząsł się cały, nie dowierzając swym oczom. Na odgłos kroków kobieta odwróciła głowę i hrabia znowu ujrzał tę śliczną twarz, której nie myślał już zobaczyć na świecie. Padł na kolana, nie wiedząc, co się z nim dzieje, lecz widząc, że żona powstała i odchodzi, powstał i poszedł za nią, lękając się, aby znowu nie rozwiał się jej cień marny.

Gdy stanęli na dziedzińcu, chwycił ją za rękę, ale dłoń ciepła i miękka, serdecznym odpowiedziała mu uściskiem, a głos słodki począł go przepraszać, że choremu mężowi tak długo dała czekać na siebie. Ale musiałam dotrzymać obietnicy uczynionej matce na łożu śmierci. Ta mając szczególniejsze nabożeństwo do Anioła Stróża, pod jego opiekę oddała dziecię, które zostawiła sierotą, i żądała, aby córka dała jej słowo, że ile razy będzie przechodziła około kościoła, wstąpi pomodlić się do swego opiekuna.

Teraz dopiero Wolter zrozumiał, kim był ten, który przybierając postać Aldy, uratował ją od szatańskiej zasadzki, a jego od zbrodni i rozpaczy. Skrucha jego była wielka, bo nietylko w konfesjonale, ale i przed żoną wyznał, jak ciężko zawinił. Legenda powiada, że Alda przebaczyła mężowi, i że oboje fundując kapliczkę na pamiętnem miejscu, kazali wymalować obraz, mający przekazać potomności widoczny dowód opieki Anioła Stróża.

Władek z pod lasu w Przyszowy.

Poradnik gospodarczy.

Racjonalne gnojenie i komasacja pól.

U nas w Polsce dopóty nie może być mowy o wysokich plonach roślin w gospodarstwach włościańskich, dopóki nie zostanie przeprowadzoną komasacja pól. Przy istniejącej do dnia dzisiejszego szachownicy pól, rozrzuceniu poszczególnych części na kilometrowe nieraz odległości, utrudnionym dostępie do każdego łanu, niezwykle dużej części zgoła niepotrzebnych miedz (porosłych, nigdy nie niszczonemi chwastami), trudnościach jako sobie wzajemnie wadliwi czynią, gnój wywożony być może tylko wówczas, gdy złożą się na to wszystkie konieczne w takich wypadkach warunki, nie zaś wówczas, kiedy z punktu widzenia dobrej gospodarki zrobić to należałoby.

Gnój wywożony na małych wozach, źle ubitych, przy przewozie na przestrzeni kilku kilometrów, przy dniu ciepłym i wietrznym, tracić będzie zawsze wiele składników pożywnych. Natomiast przy skomasowaniu gruntów, utworzeniu ferm i futorów, skupiających wszystkie pola razem, gnój wywożony być może szybko i odrazu w dużych ilościach.

Gnój wywieziony nieraz na małą tylko część — oddalonego pola — nie może być przyorany według przepisów racjonalnego gospodarstwa, gdyż całe pole potrzebuje do przykrycia go gnojem kilku dobrych dni przy sprzyjającej pogodzie. Oczywiście straty bywają znaczne, szczególnie, o ile gospodarz każdą wywiezioną furę natychmiast rozrzuca i zostawia nieprzyoraną przez wiele dni. W gospodarstwie scalonem (skomasowanem) można gnój wywieźć jednego dnia w pole pod zgnojenie przeznaczone, a nieraz nawet tego samego dnia przyorać.

W wypadku, o ile rola nie jest jeszcze gotowa, gdy trzeba oborę opróżnić, lub gdy inne gospodarcze względy nie pozwalają na natychmiastowe przyoranie gnoju według zasad dobroci postępowania, najlepiej — zamiast zostawiania gnoju w małych pryzmach (kupach) po polu — ustawić jedną wielką na rogu pola. Dla większości jednak naszych gospodarstw nie będzie to możliwem do wykonania, gdyż brak komasacji pól sprowadza za sobą drobne i niedogodnie położone kawałki. I tu także tylko racjonalne scalenie gruntów przynieść może radykalną poprawę obchodzenia się z tak ważnym wytworem gospodarstwa, jakim jest gnój.

Sprawa przeto komasacji naszych pól włościańskich — stanowiąca pierwszorzędnej wagi interes samych rolników i ich Państwa — stanowi i dla zasad obchodzenia się z gnojem, problem niemniej doniosły, który rolnictwo nasze na tej tylko drodze przedewszystkiem będzie w stanie rozwiązać tak, jak dawno rozwiązano go w gospodarstwach zagranicą.

KRONIKA.

Wesołych i szczęśliwych świąt życzymy wszystkim naszym Współpracownikom, Przyjaciołom, Prenumeratorom i Czytelnikom „Roli“.
Redakcja i Administracja.

Od Redakcji. W numerze 15 »Roli« rozpoczniemy, jako dalszy ciąg naszych opowiadań o podróżach po dalekich krajach, druk niezwykle ciekawych **opowiadań o Indjach wschodnich,** położonych, jak wiadomo nad oceanem Indyjskim, a graniczących od północy z Chinami i Afganistanem. Znany polityk, zasłużony ekonomista i pierwszy wydawca „Roli“, Dr Jan Hupka odbył przed kilkunastu laty podróż po Indjach i opisał ją w książce p. t. „Z wędrówki po Indjach“. Z książki tej, która już jest wyczerpana w handlu księgarskim, czerpiemy szczegóły do naszych opowiadań, a są one tak ciekawe, że musimy im więcej miejsca poświęcić. Zajmą też więc kilka numerów „Roli“ i nie wątpimy, że nadzwyczaj zaciekawią naszych Czytelników. Opowiadania te będą zdobić obrazki ze zdjęć fotograficznych, dokonanych na miejscu.

W 15 lub 16 numerze „Roli“, po ukończeniu powieści p. t. „Król Dziadów“ rozpoczniemy też druk najnowszej powieści redaktora „Roli“, Antoniego St. Bassary p. t. **„Branki tatarskie“.** Trudno zachwalać nam treść powieści, lub inne jej zalety, to przecież jedno powiedzieć się godzi, że porusza ona zdarzenia tak mało u nas znane, owe bandyckie napady tatarskie na ziemie polskie, mordy i pożogi, oraz bohaterską obronę naszych praojców, a dalej ciężką niewolę, jaką przebywać musieli pobrani w jasyr, ich nieraz nadludzkie wysiłki, aby uwolnić się i wrócić do Ojczyzny. Czasem wysiłki ich były uwieńczone pomyślnym skutkiem, — częściej jednak ginęli na dalekich stepach, a grób ich nawet nie był znany ich najbliższym. Na tle tych przeżyć napisana jest wspomniana powieść i mamy nadzieję, że zadowoli ona w wysokim stopniu naszych Czytelników, skupiając ich uwagę na sobie od początku do końca.

Oto, co damy naszym Czytelnikom w przyszłym kwartale. A jeżeli dodamy do tego jeszcze powieść p. t. **„Wydziedziczona“,** którą i nadal będziemy drukować, a która znalazła tak wielkie uznanie u licznych Czytelników, to zobaczymy, że treść „Roli“ przewyższa wielokrotnie jej cenę. Nie wątpimy też że nietylko wszyscy dotychczasowi prenumeratorzy pozostaną i nadal wiernymi jej przyjaciółmi, ale i wielu dla niej Czytelników pozyskamy. Ostrzegamy jednak i prosimy o pośpiech w nadsyłaniu prenumeraty, — gdyż ze względu na wielkie koszta zbyt dużo zapasowych numerów drukować nie możemy.

Napad bandytów na pociąg. W ubiegłym tygodniu dokonano śmiałego napadu rabunkowego na wóz pocztowy przy pociągu osobowym, kursującym między Dębicą a Rozwadowem. Na stacji Kochanówka wszedł do wozu pocztowego bandyta, ubrany w mundur kolejarza, pod pozorem, że ma tam coś naprawić. Wkrótce przyszedł drugi a obydwaj rzuciwszy się na urzędnika, skrępowali i wyrzucili z pociągu. Gdy pociąg przyjechał do Dębicy, spostrzeżono brak urzędnika jak również worków z pieniądzmi, w których znajdowało się około 90 tysięcy złotych. Po bandytcch nie było również śladu.

Bestjalska zemsta. Z Limanowej donoszą: Niejaki Stefan Koszyk, przegrawszy proces ze swą teściową Jadwigą Królową, zaprzysiągł jej okrutną zemstę. Wybrał się wraz ze swym bratem do domu teściowej uzbrojony w drąg żelazny, a po krótkiej sprzeczce zmasakrował ją tak straszliwie, że ta wkrótce zmarła, zaś synową jej i trzech synów, pobitych przez Koszyka, przewieziono do szpitala w Nowym Sączu ciężko rannych i dających słabe oznaki życia. Policja ujęła obu zbrodniarzy.

Walka gajowego z dzikiem. Od kilku dni w lasach rewiru Rozdźwiany obok Trembowli, pojawiło się stado dzików. Zwierzyna ta za żerem podchodziła aż do zagród gospodarskich, wywołując swojem pojawieniem się wielki popłoch wśród okolicznych mieszkańców. Onegdaj w Rozdźwianach linją lasową przechodził gajowy, Michał Powąska. W czasie tego obchodu spotkał się on z dzikami. Odważny Powąska oddał do jednego z nich, który odłączył się od stada, dwa strzały. Oba były celne, jednak tylko raniły dzika. Po drugim strzale dzik zerwał się z ziemi i zaatakował Powąskę, raniąc go ciężko kłami w prawą nogę w okolicy kolana, poczem uszedł w głąb lasu za innymi dzikami. Rannego Powąskę przewieziono do Tarnopola, gdzie go umieszczono w szpitalu powszechnym.

Katastrofa w kopalni. W ubiegłą środę wydarzyła się w kopalni w Mysłowicach wstrząsająca katastrofa. W jednym z chodników na głębokości 350 m. pod powierzchnią ziemi, zwalił się filar, podpierający sklepienie. Masa zwałów piaskowych osunęła się na pracujących tam robotników. Dwóch robotników udało się odkopać. Trzej inni pozostali pod gruzami i najprawdopodobniej ponieśli śmierć. Katastrofa wywołała w całym okręgu górniczym wielkie wrażenie, albowiem w ostatnich czasach ogólna ilość katastrof wzrosła w sposób przerażający.

Strzały w szpitalu. W szpitalu Przemienienia Pańskiego w Warszawie zdarzył się w tych dniach wypadek, będący epilogiem sądu złodziejskiego. Oto początkujący rzezimieszek, H. Zwoliński, był od kilku miesięcy nagabywany przez starych złodziei, domagających się od niego „wkupu“. Jednym zapłacił 110 dolarów, drugim dał mniejsze „wkupne“, lecz nie mógł wszystkich zaspokoić. „Rada złodziejska“ napiętnowała zdzierstwo pierwszych, którzy wyłudzili od Zwolińskiego 110 dolarów i zawyrokowała, że postępowanie ich jest niezgodne „z honorem sfery“. Ci, to jest niejaki Dusznikiewicz i Ziółkowski poprzysięgli Zwolińskiemu zemstę, który wiedząc o ich zamiarach, ukrywał się starannie. Onegdaj, w czasie gdy znajdował się w szpitalu u łoża swej narzeczonej, wpadli na salę, chcąc go wyciągnąć na korytarz. Przewidując krwawą rozprawę, Zwoliński wydobył rewolwer i kilkoma strzałami położył trupem obu napastników, poczem oddał się w ręce policji.

Schwytanie groźnego bandyty. Na terenie województwa łódzkiego grasowała oddawna nowa banda, która dokonywała nadzwyczaj zuchwałych napadów i grabieży. Złoczyńcy działali tak sprawnie, że dotychczas wszystkie ich występy uchodziły bezkarnie. Fakt ten jeszcze bardziej podniecał niepokój wśród ludności, która dzień i noc pozostawała pod groźbą nieuchwytnej szajki. Sytuacja stawała się coraz bardziej nienormalna. Wreszcie policja postanowiła za wszelką cenę zlikwidować bandę. Onegdaj władze śledcze wpadły na trop złoczyńców. W okolicy dokonano znacznego włamania, a ślad bandytów prowadził do Zgierza. Śledztwo wykazało niebawem, że herszt szajki ukrywa się u swej kochanki Eugenji Karwowskiej. Silny oddział policji otoczył wkrótce kryjówkę, posterunkowi wkroczyli do mieszkania Karwowskiej. Na widok policji bandyta błyskawicznym ruchem chwycił rewolwer, zanim jednak zdą-

żył wystrzelić, wywiadowcy rzucili się nań i skuli go w kajdany. Wstępne badania dały sensacyjne wyniki. Okazało się, że w ręce policji wpadł groźny przestępca Bolesław Walerak, którego poszukiwano od kilku lat. Według pobieżnych obliczeń, ma on na sumieniu około 100 przestępstw rozmaitego rodzaju. Przeszłość Waleraka była nadzwyczaj awanturnicza. Ustalono, że przed sześciu laty był on aresztowany, jednak skorzystał z nieuwagi dozorcy więziennego i zbiegł. Cztery lata temu został ponownie schwytany, lecz i wówczas wymknął się z rąk sprawiedliwości. Od tego czasu grasował już zupełnie bezkarnie, zmieniając swoje nazwisko i przenosząc się z miejscowości do miejscowości.

Żydzi pod śniegiem. Jak donoszą z Lublina, dzielnica żydowska Łukowa padła ofiarą tegorocznych śnieżyc. Dzielnica ta składa się z kilkudziesięciu domków drewnianych, zamieszkałych wyłącznie przez najbiedniejszą ludność żydowską. Podczas zimy tegorocznej nagromadziło się tam tyle śniegu, że nędzne domki zasypane zostały prawie do połowy i komunikacja z miasteczkiem została prawie zerwana. W ubiegłym tygodniu nad Łukowem i okolicą przeszła gwałtowna burza śnieżna, która w wielu miejscach poczyniła wysokie na kilka metrów zaspy. We środę rano pewien żyd handlarz, wracając furmanką ze wsi do Łukowa przez ową dolinę, zauważył ze zdumieniem, że dolina jest jednem polem śnieżnem, bez śladu jakichkolwiek budynków. Tylko drzewa wskazywały przez nią drogę. Przerażony handlarz zrozumiał, że zaszła tu katastrofa i drogą okrężną pojechał spiesznie do miasteczka, gdzie zaalarmował mieszkańców. Na wieść o katastrofie, kilkaset żydów z łopatami w ręku udało się natychmiast na miejsce wypadku i po całogodzinnej ciężkiej pracy udało im się wreszcie odkopać zasypanych współwyznawców, którzy dawali jeszcze słabe znaki życia. Wszystkich zasypanych przyprowadzono do przytomności i ogrzano ich ciepłą strawą.

Ujęcie usypiacza kolejowego. Jak podają gazety wileńskie, został tam ujęty niejaki Józef Zaniewski, który ma na sumieniu okradzenie szpitala wojskowego na Antokolu. Podczas szczegółowej rewizji, starszy przodownik Wasilewski znalazł przy aresztowanym 4 rurki z eterem, używanym do usypiania pasażerów w pociągach. To sensacyjne odkrycie naprowadziło policję nareszcie na ślady tajemniczego bandyty, który grasował na kolei.

„Cudowny“ Michałek u bolszewików. „Cudowny Michałek“, o którym pisaliśmy w jednym z dawniejszych numerów „Roli“ a który we wsi Michałowie na spółkę z miejscowym kowalem i z innymi spryciarzami naciągał naiwną ludność jako „święty“, po raz drugi już uciekł z miejsca przymusowego pobytu. Zarządzone poszukiwania nie wydały żadnego rezultatu. Michałek przepadł tym razem bez wieści. Tem ciekawsza jest wiadomość podana przed kilku dniami przez dziennik londyński „Times“. Otrzymał ją ten dziennik z Moskwy, a donosi ona o aresztowaniu przez władze sowieckie osobnika, który pod mianem „ojca Michała“ wędrował od wsi do wsi jako „prorok“, śpiewając psalmy, ostrzegające włościan przed antychrystem i nakłaniające ich do powrotu do dawnych obyczajów. Michałowi towarzyszył chór śpiewaczy, w tem cztery kobiety, noszące imiona Olgi, Tatjany, Marji i Anastazji, córek zmarłego cara Mikołaja. Wieśniacy przyjmowali Michała bardzo chętnie, uważając go za świętego. Doniesienie moskiewskie nie zawiera bliższych danych co do terenu jego działalności, stwierdza tylko, że przed zaaresztowaniem Michał rozesłał swych uczni w różne okolice sowietów celem rozpowszechnienia ulotek, zawierających jakąś tajemniczą misję. Zachodzi podejrzenie, czy ten aresztowany w sowietach „ojciec Michał“ nie jest identyczny ze zbiegłym bez śladu „cudownym Michałkiem“.

Cała wieś na ławie oskarżonych. Z Czerniowiec na Bukowinie donoszą: Niecodzienny proces toczył się onegdaj przed sądem czerniowieckim: Cała sala zapchana była doszczętnie przez tłum chłopów, którzy ponadto zapełnili przyległy korytarz i klatkę schodową. Obraz podobny widuje się wszędzie po sądach podczas interesujących rozpraw, ale tymczasem był on o tyle oryginalny, że ów tłum składał się z samych oskarżonych. Tło osobliwego procesu było następujące: We wsi Słobodzia-Brańcze kierownikiem szkoły jest Jan Tkaczuk. Mieszkańcy wnieśli nań pisemne zażelenie do władzy przełożonej, że zużył na swój cel drzewo opałowe, przeznaczone dla szkoły, że kazał każdemu dziecku przynieść do szkoły po dwa polana drzewa, że od zamożniejszych uczniów domagał się łapówek i t. d. Kierownik szkoły, dowiedziawszy się o tych zarzutach, pozwał przed sąd wszystkich mieszkańców wsi, w liczbie 114. Skargę jednakże odrzucono, gdyż została ona wniesiona w terminie przedawnionym.

Byk o sześciu nogach. Zdarza się często, że tak ludzie jak i zwierzęta przychodzą na świat z jakiemiś niewłaściwościami. Mają więc albo zadużo, albo zamało członków, bywają zrośnięte dwie istoty ze sobą i t. p. Zazwyczaj takie istoty długo nie żyją. Rzadko bardzo zdarza się, że istota taka dożyje późnego wieku i swoim wyglądem zarabia na wygodne nieraz życie.



Do takich właśnie nadzwyczajnych okazów należy byk o sześciu nogach, własność pewnego obywatela w Niemczech. Byk ten ma cztery nogi, jak każdy porządny byk, ale oprócz tego ma na grzbiecie jeszcze dwie nogi, jakby dwie ręce, ale zakończone racicami. Byk chowa się dobrze jest zdrów i „dobrze mu się powodzi“.

Tajemnicze morderstwo. W ubiegłym tygodniu zamordowany został na zamku janowickim w pobliżu Lignicy, właściciel olbrzymich posiadłości ziemskich i ordynat majoratu Janowice hr. Eberhard Stolberg-Wernigerode. Około północy w pokoju, w którym przebywał hrabia, dały się słyszeć strzały. Zaalarmowana służba i rodzina pospieszyła do pokoju, gdzie zastano hrabiego, leżącego z książką w ręku na ziemi w kałuży krwi. Strzały, jak wykazało śledztwo, oddane zostały z odległości kilku kroków. Domownicy, zaalarmowani strzałem, znaleźli leżącego przed domem, omdlałego syna zamordowanego, Krystjana, który po odzyskaniu przytomności zeznał, że w chwili morderstwa znajdował się wewnątrz domu i że zetknął się na korytarzu z mor-

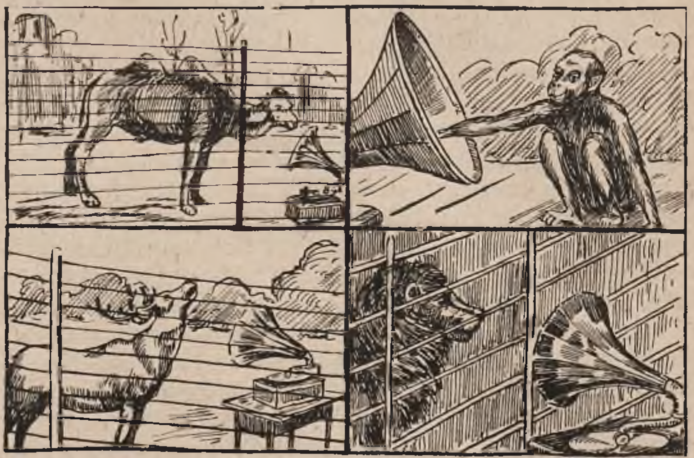
dercą. Ten rzucił się na niego i uderzeniem pięści pozbawił go przytomności. Hr. Krystjan, odzyskawszy przytomność, wybiegł przed dom i począł wzywać pomocy, poczem zemdlał. Policja wszczęła energiczne śledztwo celem wykrycia mordercy. Podejrzenia skierowały się na syna zamordowanego, który też został aresztowany.

Niesamowita historja. Z polecenia prokuratora sądu w Budapeszcie aresztowano tam majstra ślusarskiego Józefa Bako pod zarzutem dwużeństwa oraz oszustwa na szkodę Towarzystwa asekuracyjnego. Józef Bako został przed pięciu laty wymazany z listy żyjących i ma swoją mogiłę na cmentarzu budapeszteńskim, a na tej mogile wznosi się kamień grobowy ze słowami żalu, jakie wyryć kazała wdowa. Bo zdarzyło się przed pięciu laty, co następuje: Dom, w którym mieszkał z żoną Józef Bako, spłonął pewnej nocy. Mieszkańcy zdołali się uratować. W zamieszaniu najpóźniej pomyślano o gospodarzu. Wiedziano, że pani Bako wyjechała. Gdy nie ujrzano Józefa Bako, przypuszczali wszyscy, że i jego niema w mieszkaniu i że pewnie pojechał do żony. Dopiero nazajutrz znaleziono pod gruzami spalonego domu zwęglone zwłoki. Na palcu trupa była obrączka ślubna, na ręku tkwił w złotej bransolecie zegarek. Rzeczy te rozpoznano jako należące do Józefa Bako. Wdowa po nim otrzymała od Towarzystwa asekuracyjnego 50.000 pengö odszkodowania za spalony dobytek, a dalsze 10.000 pengö za śmierć męża. Przed tygodniem zdarzyło się, że pani Bako, która w międzyczasie powtórnie wyszła zamąż, spotkała na ulicy w Budafoku jakiegoś człowieka, odzianego w łachmany, a dziwnie podobnego do jej nieboszczyka, pierwszego męża. Zbliżyła się do niego i zapytała, jak się nazywa. Zmieszał się i chciał uciekać. Ale po chwili z płaczem wyznał, że on to jest Józef Bako. W prokuratorji, dokąd z miejsca zaprowadziła go żona, złożył Józef Bako następujące zeznanie: Przed pięciu laty, podczas tego, jak żona bawiła u krewnych, wykopał nocą na cmentarzu zwłoki zmarłego przed paru dniami brata i przyniósł je w worku do swego mieszkania. Ubrał trupa w swoje ubranie, włożył mu na palec obrączkę, a zegarek z bransoletą przymocował na przegubie ręki. Potem podpalił dom. Dom spłonął doszczętnie i wszyscy myśleli, że stracił życie w płomieniach, on zaś uciekł z kochanką do Rumunji i tam wziął z nią ślub. Przed niedawnym czasem kobieta ta wyrzuciła go z mieszkania, jakie wspólnie zamieszkiwali. Wrócił do ojczyzny. Myślał, że nikt go już nie pozna. Lecz skoro tak się już stało, podda się z pokorą zasłużonej karze. Chce odpokutować winy. Rzeczywiście niesamowita to historja, a temat jej nadaje się do napisania sensacyjnej powieści.

Walka cymbalisty z wilkami. W pewnej wsi w Dobrudży odbywało się wesele chłopskie, na którem przygrywał zaproszony w tym celu muzykant. Na powracającego w nocy grajka napadły wygłodzone wilki. Położenie muzykanta było straszne, ze względu na to, że nieszczęśliwy nie miał przy sobie żadnej broni. W rozpaczy, nieprzytomny z trwogi człowiek, zaczął wygrywać na cymbałach dziką, przeraźliwie głośną melodję. Widocznie muzyka podziałała na wilki, które oddaliły się od swojej ofiary, postępując za nią o kilkanaście kroków. Gdy tylko nieszczęśliwy ustawał ze zmęczenia, wilki nabierały odwagi i gotowały się do strasznego skoku. Blisko dwie godziny trwała ta straszna walka z wilkami jedynie przy pomocy cymbałów, na których grajek wygrywał na pół zmarzniętymi rękami. Na szczęście nadjechały sanie, obładowane uzbrojonymi podróżnymi, którzy uwolnili muzykanta z tej strasznej opresji.

Śmierć 114 osób w płomieniach. Z Moskwy donoszą: We wsi Igołkinie w gubernji włodzimierskiej dawano onegdaj przedstawienie kinematograficzne. Nagle zapalił się film, a od niego drewniany budynek. Powstała ogromna panika, ponieważ było tylko jedno wyjście. To utrudniało ratunek. W ogniu zginęło 114 osób, oprócz tego 11 zostało ciężko poparzonych, 6 zaś lżej.

Jak muzyka działa na zwierzęta? W jednym z londyńskich ogrodów zoologicznych postawiono aparat grający t. zw. gramofon kolejno wobec kilku zwierząt. Widzimy na pierwszym rysunku dwugarbnego wielbłąda, który z zadowoleniem przysłuchuje się jakiejś miłej zapewne melodji.



Drugi rysunek przedstawia małpę, która nie zadawalając się samą muzyką, wyciąga łapę w stronę gramofonu, pragnąc głos w palce uchwycić; na rysunku trzecim widzimy jelenia, który stara się dźwiękom gramofonu wtórować swym bekiem; na czwartym rysunku widzimy, iż nawet król zwierząt, lew, przysłuchuje się z zadowoleniem melodjom wygrywanym przez samogrający aparat.

Wylew Missisipi. Wał nadbrzeżny olbrzymiej rzeki Stanów Zjednoczonych w Ameryce przerwały napierające nań wody. Woda zalała 20 tysięcy urodzajnych ogrodów. Szkody są ogromne.

Budowa pływających wysp na oceanie. Sprawa budowy pierwszych pływających wysp na oceanie, mających służyć za schronienie dla samolotów, została ostatecznie postanowiona. Pierwsza taka wyspa umieszczona zostanie w odległości 300 mil morskich od brzegów Stanów Zjednoczonych między Nowym Jorkiem a wyspami Bermuckiemi. Pierwsza z tych wysp będzie miała 1.000 stóp długości przy 200 stopach szerokości. Na wyspie będzie stała załoga, złożona z 43 ludzi przeważnie marynarzy i lotników-mechaników, a także hotel i restauracja.

Bierzmowanie trędowatych. Biskup Heerey ze Zgromadzenia Ojców od św. Ducha udzielił sakramentu bierzmowania 11 trędowatym ze schroniska trędowatych w Onitsha w Nigerji. Arcypasterz tak opisuje tę uroczystość: „Z trudnością znajdowałem na czołach tych nieszczęśliwych miejsce, gdzie mógłbym dokonać świętego namaszczenia. Wielokrotnie był to prawdziwy problem znaleźć punkt na policzku, gdzie możnaby dać lekkie uderzenie. Odchodziłem z tego miejsca cierpienia pełen radości, że mogłem przynieść doń ducha pocieszenia“. Wspomniane schronisko dla trędowatych leży samotnie na dzikiem wybrzeżu jednego z licznych dopływów Nigru. Jedyną radością biednych mieszkańców tego zakładu są odwiedziny kapłana, który do pociech duchowych dołącza dary w postaci środków żywności i materjałów włókienniczych, składanych mu przez katolickie niewiasty sąsiednich wiosek dla trędowatych. Według statystyki Nigerja posiada 40.216 trędowatych.

RZECZY CIEKAWE.

Ile jest warta teściowa.

Dawne polskie przysłowie mówi: „Matka żony to djabeł wcielony". Wszystko się jednak zmienia w świecie; i to przysłowie poczyna być także nieaktualne. Dawniej teściowe były brzydkie i stare i z przyjemnością dokuczały zakochanym parom, mszcząc się w ten sposób za to, że własna ich młodość przekwitła. Dziś wiek kobiety jest zawsze nieokreślony. Młode i stare noszą krótkie sukienki i równe mają pretensje do miłości. Nasza bohaterka pani Mary Grienhergh z Nowego Jorku jest jedną z tych szczęśliwych kobiet, które kiedyś były młode a z czasem stały się poważnemi matronami, by wreszcie po szczęśliwem zamążpójściu swych córek, odmłodzić się za pomocą szminki i innych rzeczy. Zięciowi nie dokuczyła nigdy, nawet jednem słówkiem. Zawsze pogodna, wesoła i słodka stawała się wprost czarującą, gdy w kłótniach małżeńskich przyznawała rację zięciowi. Córka natomiast rozżalona sojuszem męża i matki cały dzień chodziła zadąsana i zgryźliwa. Nic więc dziwnego, że mąż jej zniechęcił się do niej i darzył wesołą i słodką mateczkę większemi względami, jak żonę. Sympatja zięcia i teściowej wzrastała z dnia na dzień i poważnie zagrażać poczęła szczęściu młodej małżonki. W rozpaczy udała się o pomoc do sądu, oskarżając swą matkę, że jej bałamuci męża, i zażądała odszkodowania. Sądy amerykańskie w takich wypadkach wydają zazwyczaj bardzo surowe wyroki. Tem większe było zdumienie ,gdy sąd skazał teściową na zapłacenie odszkodowania w sumie jednego centa. Łagodny wyrok umotywowano w ten sposób, że sympatja mężczyzny, który sprzeniewierza się młodej żonie z powodu niezupełnie już młodej teściowej, nie może być trwała i dlatego jest bez wartości. Młoda małżonka nie dała jednak za wygraną. Pomyślała sobie, że choć teściowa niema w oczach sądu wartości, to posiadać ją musi matka i dlatego zaskarżyła męża o zbałamucenie jej matki.

Oczy roślin.

Zwykle z organizmu jakiegoś wnosimy o jego funkcjach. Jeśli więc u jakiegoś zwierzęcia spotykamy uszy, wiemy, że ono słyszy, jeśli stworzenie jakieś ma oczy, widzi.

U roślin rzecz ma się zupełnie inaczej. Wiedziano, że rośliny muszą widzieć: ale gdzie ich oczy? Muszą widzieć, gdyż skierowują przecież swe liście ku słońcu, zamykają swe kwiecie, gdy się ściemnia; inne rodzaje właśnie w nocy „otwierają się"; łodyga rośnie w kierunku światła; jeśli zmienimy w stosunku do jakiejś rośliny oświetlenie, roślina ta skrzywi się jakby wąż.

Rośliny zatem są wrażliwe na światło; światło decyduje o ich rozroście i o kształcie ich poszczególnych organów. Istny cud: patrzenie bez oczu.

Dopiero najnowszym badaniom udało się rozwiązać tę zagadkę: znaleziono oczy roślin.

Najważniejsze są te oczy u alg. Są to jednokomórkowe rośliny (wodorosty), które przy pomocy cieniutkiej nitki, przytwierdzonej do ich wątłego organizmu, żywo pływają w mikrokosmosie kropli wody. Przytem wykazują algi wielką zręczność, gdyż mimo szybkości ich poruszeń nie uderzają o nią. Zmysł wzroku musi zatem u nich być bardzo rozwinięty. Faktycznie znaleziono u nich „oczy" w postaci czerwonych plam. I zbadano, że ten czerwony barwik jest ten sam, który znajduje się również w ludzkiem oku. Te prymitywne „oczy" algi zaopatrzone są w mikroskopijne, silne światło załamujące soczewki.

Najwyraźniejsze są „oczy" kwiatów dzwonkowatych. Na wierzchniej warstwie kwiecia można było stwierdzić pojedyńcze komórki, mające przeźroczystą powierzchnię, za którą mieści się typowa soczewka. U kwiatów dzwonkowatych jest ona z kwasu krzemowego. Jet to już zatem soczewka ze szkła kwarcowego niejako, przepuszczająca ultrafjoletowe promienie tak ważne w procesie patrzenia. „Oczy" na liściach są tak ułożone, że ognisko soczewki pada na tylną ściankę komórki. W tem drobniutkiem „oku" rośliny powstaje w ten sposób obraz całego słońca. Jak dziecko oczami idzie za światłem — tak też liść obejmuje swem „okiem" obraz słońca i ustawia się tak, by promienie słoneczne jaknajlepiej na jego powierzchnią padały.

Ile drogi przechodzi człowiek?

Według obliczeń, opublikowanych przez wychodzący w Bostonie (Stany Zjednoczone) tygodnik „Travler" każdy człowiek przebywa dziennie przeciętnie ponad 15 kilometrów, nawet nie wychodząc na przechadzkę ani nie uprawiając żadnych sportów. Lekarz, pracujący w szpitalu publicznym, robi dziennie 25 kilometrów, nie licząc drogi, jaką odbywa poza zajęciami zawodowemi. Każda kobieta, załatwiająca na mieście sprawunki gospodarskie przebywa dziennie około 20 kilometrów, jeśli tego dnia wychodzi na miasto, i 15 kilometrów, jeśli pozostaje przez cały dzień w domu. Natomiast dziesięcioletnia dziewczynka, uczęszczająca do szkoły, wliczając drogę do szkoły i ze szkoły, oraz codzienne ćwiczenia gimnastyczne, robi dziennie około 22 kilometrów, a jej młodszy braciszek, kontentujący się bieganiem w mieszkaniu i koło domu, odbywa kurs 24-kilometrowy. Listonosz robi dziennie około 40 kilometrów, a nawet szef wielkiego magazynu, który zdawałoby się cały dzień siedzi przy biurku, odbywa jednak w ciągu dnia drogę 16 kilometrów. Tancerz w ciągu czterech godzin przetańczy 12 kilometrów, a tancerka operetkowa w ciągu jednego tylko aktu przebywa ponad 3 kilometry.

Religje w Ameryce.

Najsilniejszem wyznaniem religijnem w Stanach Zjednoczonych jest Kościół katolicki, który w roku 1926 posiadał 18.940 świątyń i liczył 18,605.003 wiernych. Dziesięć lat przedtem liczby te przedstawiały się w ten sposób: 17.375 świątyń i 15,721.815 wiernych. Przyrost wynosi zatem 1.565 kościołów i 2,883.188 wiernych.

Baptyści wzrośli w tym czasie o 1,287.609, liczba ich w roku 1926 wynosiła 8,440.922.

W tym samym roku metodyści mieli 8,070.619 wyznawców, w ciągu omawianego okresu powiększyli się o 905.044 osoby.

Luteranie zyskali 2,794.085 osób i liczą dziś 5,258.623 zwolenników.

Żydów jest 4,087.357; prezbyterjanów 2,626.284 (przyrost 370.658); epidkopaljanów 1,859.086 (przyrost 766.658, młodych chrześcijan 1,377.595) przyrost 151.567.

Najmniejszą ilością wiernych, bo tylko 55 i 1 dom modlitwy, ma gmina teozoficzna w Nowym Jorku.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja listów nieopłaconych nie przyjmuje i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Ludwik St. Unsing** w B.: Owszem będziemy drukowali, ale z cyklami zawsze rzecz trudniejsza, aniżeli z utworami abstrakcyjnymi. Cykl zajmuje miejsce przez szereg numerów, a tymczasem miejsce to trzeba przeznaczać i na utwory innych autorów. Niech Pan jednak nie rozciąga na zbyt długi czas, bo to krępuje swobodę ruchów. Pozdrawiamy serdecznie. — **Marjan Neissner** w R.: „Na Zmartwychwstanie“ rzecz zupełnie dobra, ale niestety przyszła zapóźno do świątecznego numeru; schowamy ją jednak na przyszłość. — **„Jasnowłosa“** w T.: A możeby tak Pani przywiozła ciocię do Krakowa, kiedy tak przystojna i sympatyczna. A na profesorów nie trza narzekać, bo choć zadają dużo, to tylko dla dobra swych wychowanek. **Maryśka z Kamionki:** Otrzymaliśmy, dziękujemy. — **Jan Góra** w W.: Sprawą tą zajmuje się Towarzystwo kolonizacyjne w Warszawie. Bliższego adresu nie znamy, ale taki zapewne wystarczy. Zdaje się, że rzecz ta zostanie później obszerniej ogłoszona. — **Józef Kapuściński** w L.: Przedstawił nam Pan jedną stronę medalu, ale musiała tam być i druga. Poprostu wierzyć się nie chce, aby poselstwo polskie we Francji nie zajęło się owym obrońcą Lwowa i nie wzięło go w swoją opiekę, należy więc przypuszczać, że nie tak wszystko było, jak to Panu przedstawiono. Aby rzecz taką poruszać publicznie i rzucać oskarżenia nietylko na swoich, ale i na Francję, trzebaby mieć niezbite dowody, że tak było, jak to Pan pisze. A takich dowodów nie mamy. — **Władysław Bodnicki** w K.: Ani to podobne do poezji. — **Piotr Kowalski** w D.: Szarada zbyt zagmatwana. — **J. O.** w S.: „Na służbę do Pana Jezusa“ przeznaczamy do druku. — **Stasik Jan** z J.: A dlaczegóż Pan tak późno odnowił prenumeratę? Zapasy się wyczerpały, tych numerów brak. — **Pacura Franciszek** w Ł.: Zażalenie skierowaliśmy do Dyrekcji Poczt, spodziewamy się, że te niedomagania ustaną i w swoim czasie „Rolę“ Pan otrzymywać będzie. Sami ciekawi jesteśmy, co urząd pocztowy w Szczepanowie odpowie. Zniszczone numera możemy Panu wymienić. — **Michał Bik** w B.: „Rolę“ posyłamy Panu już przez luty i marzec. Jeżeli Urząd pocztowy Wielkie Drogi odpowie, że „Rolę“ do gminy regularnie wydaje, to wniesiemy skargę na wójta do Starostwa w Wadowicach. — **Drzymuchowski Antoni** w U. D.: Wszystkie numera od N. Roku posłaliśmy Panu. — **Paweł Prochera** w Z.: Wszystkie numera od N. Roku wysyłamy Panu w każdy czwartek. O Nr. 7 prosimy upomnieć się w gminie, gdyż najprawdopodobniej w gminie zatrzymali. — **Dominik Budny** w P.: „Pan Tadeusz“ kosztuje z przesyłką poczt. 5.50 zł. — **Teofil Skurzyński** w L.: O „Nowy Testament“ niec się Pan zwróci do księgarni Mackowa w Rożniatowie (Małopolska). — Czytelnik **J. M.** z Woli Batorskiej: Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził, zresztą list bez podpisu — poszedł do kosza. — **Stanisław Chromik** w W.: Podobnych książek nie mamy; o ile dowiemy się o podobnych, damy znać. — **Fr. Macioł** z S. B.: Okazowe posłane. Kwartalnik wkrótce wyślemy. Dziękujemy.

Unieważnia się skradzioną książeczę wojskową, wydaną przez P. K. U. w Nowym Targu na nazwisko Józef Hałota, urodz. 1898 w Rupniowie, pow. Limanowa.

Unieważnia się skradzioną książeczkę wojskową wraz z kartą mobilizacyjną, wydaną przez P. K. U. w Tarnowie na nazwisko Franciszek Sucharski, urodz. w roku 1900 w Borusowy, pow. Dąbrowa.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Ulub. miejsce Sobieskiego.
■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Plac inaczej, wstecz.
■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Miara czasu.
■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Przyrząd optyczny.
■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Inaczej chodzenie.
■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Noszą oficerowie.
■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Znachor.
■ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Inaczej kat.

Pierwszy rząd czytany z góry na dół i środkowy z dołu do góry da nam to, czego sobie na Święta życzymy.

2. Przestawianka.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

A, nia, le, prze, to, ja, ma, łych, za, ro, dek, świąt, ła, ni, rom, lu, czy, sy, kom, wszyst, czę, mi, ży, al, so, miel, nin, te, kim, sko, tel, li, ga, nia, i, go, we.

Zgłoski odpowiednio poprzestawiane dadzą życzenie na czasie.

3. Szarady.

I.

(Ułożył Kulak Fr.).

Z wielką czwartą drugą pierwszą
Na wesele ludzie spieszą,
A zaś czwarta piąta sama
Coś z urlopu dla waćpana,
Że całość niska na świecie
Wie o tem i małe dziecię.

II.

Słychać pierwsze drugie,
Tam od strony lasu,
Gdy wieczory długie
I dosyć jest czasu.
Pierwsze drugie czwarte
Chętnie odbywamy,
A zaś trzecie czwarte
Bardzo dobrze znamy.
Całość odgadniecie,
Gdy w domu staniecie.

III.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

Naszego Bzdurę wśród dziewcząt po świecie
Cieszy go i zdobi pierwsze i pół trzecie,
Toczą o niego panny bój zażarty,
Bo chłopak mądry grzeczny pierwszy-
[czwarty,
Tylko Kaśka jest zła i chwilę już długą,
Bo on w jej sercu zrobił wielką trzecią drugą,
Daleko, szeroko Bzdura w świecie słynie.
Dalej niż pół trzecie wstecz z drugiem
[w dal płynie
Bo Maciuś nasz drogi, Bzdurzątko kochane,
Tak cenny jak całość z ziemi dobywane.

4. Zagadki.

(Ułożył Jan Gara z W.).

I.

Wprost wodzi na podwyższenie,
Wspak inaczej potwierdzenie.

II.

Wprost inaczej kawał znaczy,
Wspak często w drzewie zobaczy.

5. Kwadrat magiczny.

(Ułożył „Ben Chorin“).



Rzym po łacinie.
Płyn.
Danie.
Argument, najważniejsza karta.

Poziomo i pionowo.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6 kwietnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 11 „Roli“: 1. Logogryf: Wielki Post. 2. Szarady: I. Złodzieje. II. Magazyny. III. Bułaty. IV. Łamigłówka. 3. Układanki: Kotyljon. Gdynia. Grabski (może być Jaworski). Tortury. Kotara. Karpaty. Bronisława. Turka. Cedron. Słońce. Faraon. Myszołów. Orkan.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Piotr Leśniak z M., Adolf Liebeskind z K., Franciszek Mrozek z K., Jan Gara z W., Wojciech Ciepiela z B., Jan Patulski z O., Wł. Sowiźrał z J., Jan Schnee z Rz., Zygfryd Setkowicz z T., Józef Topolski z B., Jan Smaza z Z., Józef Gasiński z B., Władysław Sołtys z N. S., Stefan Góra z Z., Leopold Kiepferman z T., Józef Kapuściński z L.

Nagrody wylosowali pp.: Piotr Leśniak z M. i Wojciech Ciepiela z B.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Już na wyczerpaniu Kalendarze Powszechne po 2·95 zł.

Kto nie posiada niech corychlej nadeśle a prześlemy opłatnie. Póki zapas starczy!

Porozumieli się.

Za czasów okupacji niemieckiej rozmawia sobie dwóch kmiotków.

— Zawsze to za Ruska bywało lepiej, jak za Germańca, Macieju: człowiek się łatwiej rozgadał z nim, boć zawsze ludzki język rozumiał, a ten ani w ząb.

— Gadajcie, Ignacy! I z tym się można rozgadać. Chcecie to spróbujemy z tym, co przy kancelarji stoi.

— Ano, spróbujmy.

— Słuchajcie-no, panie starszy, pocałujta me gdzieś!

— Was? — powiada Niemiec.

— A no, juści, — mnie. A widzita, Ignacy, zrozumiał szwabisko!

W żydowskiej szkole.

Nauczyciel: Powiedz mi, Icuś, czy spodnie to jest liczba pojedyńcza, czy mnoga.

Uczeń: Na górze pojedyńcza, a na dole mnoga.

Na święconem.

— A panu co, boczek czy szynkę?

— Ja... jeżeli pani pozwoli, panno Zosiu... to rączkę pani, bo już żyć bez pani nie mogę!



Bogaty wujaszek.

— Czuję moi drodzy, że mi już niewiele do śmierci brakuje.

— Ależ nie, wujaszek tylko tak żartuje chcąc nas pocieszyć.

Rocznik „Roli“ z roku 1927

zawierający 19 powieści: „Tajemnica na dworze królewskim“, „Podróż naokoło świata, „Dziwy w świecie“, „Przygody Filipa“, „W szpitalnej celi“, „Dziwne sny“, „Zwiastunka śmierci“, „Wśród puszcz i stepów“, „Matka królów“, „Wawrzek Dybczak“, „Walkowa dola“, „Zemsta Judyty“, „Ucieczka Archanioła“, „Pomszczona zbrodnia“, „Staw św. Małgorzaty“, „Było to pod Jeną...“, „Abraham Pinkt i Mateusz Sikora“, „Baśń o Sobotniej Górze“, „Wskrzeszenie Łazarza“.

Wiele z powyższych powieści jest ozdobionych pięknemi ilustracjami.

W każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury, nadto wiele powiastek, gawęd, legend humoresek. Prócz tego kronika krajowa i zagraniczna ilustrowana. Na okładkach humor

Całość rocznika obejmuje 1.040 stron a kosztuje wraz z przesyłką pocztową tylko 9 zł. 50 gr.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 22 marca b r.

Pszenica	50·00—50·50	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	36·50—37·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies	37·00—38·00	Koniczyna na-sienn. czer.	220·00—250·00
Jęczmień	36·00—37·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	52·00—53·50
Groch zwyk.	60·00—65·00	Mąka pszen.	78·00—79·00
Siano słodk.	23·00—25·00	Otręby pszen.	29·00—30·50
Łubin żóły	33·00—34·50	Otręby żytnie	26·50—27·00
Koniczpastew.	33·00—34·00	Mąka czerw.	34·00—35·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 22 marca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·20 do 1·65 zł.	Jałownik	od 0·98 do 1·48 zł.
Woły	od 1·20 do 1·70 zł.	Cielęta	od 1·25 do 2·11 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·60 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·00 do 2·42 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·60 do 3.12

Nie marnować owocu! Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża), n. p. **Tokaj, Malagę, reńskie stołowe i t. p.**

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo

M. Pradel, Kraków, Grodzka L. 2.

(tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Okładki na „Rolę“

na r. 1928 są gotowe po nadesłaniu 2 zł. 20 gr. wysyłamy.